Nr. 18. Warszawa, dnia 30 (18) Kwietnia 1892 r. **Rok XII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

WALKA Z CZECHAMI.

Zwykle zdaje nam się — bo tak być powinno — że w państwach konstytucyjnych każdy krok rządu jest wynikiem głębokiej i wszechstronnej rozwagi czynników kierowniczych. Tymczasem bardzo często przekonywamy się, że wiele przedsięwzięć politycznych wielkiej wagi dokonywa się pospiesznie, bez dostatecznego zastanowienia, pod wpływem jakiegoś porywu, intrygi lub jednostkowej zachcianki. Widzieliśmy to po odsłonięciu tajemnic projektu nowej ustawy szkolnej w Prusach. Powszechnie mniemano, że projekt ten wyszedł z narady całego ministeryum, że był rozjaśniony we wszystkich punktach królowi; a tu przeciwnie okazało się, że niektórzy ministrowie uważali go za zgubny, a król wprost go nie rozumiał.

Otóż czy coś podobnego nie zaszło obecnie w rządzie austryackim? Nie potrzebujemy czytelnikom naszym, stale powiadamianym o rozwoju ugody czesko-niemieckiej, przypominać szczegółowo jej losów. Wyskoczyła ona jak Minerwa z głowy Jowisza austryackiego, hr. Taaffego, przyjęta została przez staro-czechów, potępiona następnie przez młodo-czechów, którzy na jej gruncie rozpoczęli energiczną agitacyę w kraju, pokonali i niemal spędzili z pola starych i zmusili ich oraz t. zw. „szlachtę historyczną“ do zawieszenia układu na czas nieoznaczony. Cała ta walka w najwyższym stopniu rozjątrzyła niemców czeskich i naturalnie pozostawiła kolkę w sercu hr. Taaffego. Nie dał on jednak za wygranę. W państwach konstytucyjnych rząd ma sposoby przeprowadzenia swoich zamiarów drogą administracyjną, jeżeli nie może ich przeprzeć parlamentarną. Więc też i austryacki polecił ustanowić niemiecki okrąg sądowy w miasteczku czeskiem Weckeldorf. Winniśmy tu zauważyć, że rozgraniczenie Czech na okręgi według narodowości jest jedną ze spraw najdrażliwszych i było jedną z najważniejszych w rozbitej ugodzie wiedeńskiej. Według niej wszakże rozdział taki miał się dokonywać za wiedzą i wolą sejmu czeskiego. Ustępstwo zatem, zrobione niemcom w Weckelsdorfie przez prosty rozkaz rządowy, nietylko obraziło interesy czechów, ale nawet pogwałciło ugodę. Łatwo się domyśleć, jakim krzykiem zgrozy odpowiedzieli dotknięci na tę samowolę. Jak we wszystkich podobnych wypadkach, przewodnictwo w burzeniu opinii objął mistrz oporu, Gregr, który z *Narodnich Listów* sypnął gromami i wezwał naród do przeciwdziałania gwałtom. Pierwsze te pioruny są bardzo hukliwe i groźne, późniejsze będą zapewne łagodniejsze; nie ulega jednak wątpliwości, że młodo-czesi wyzyskają ten wypadek przeciwko rządowi i zaostrzą swój do niego stosunek w kierunku opozycyjnym.

Tu powróćmy do postawionego wyżej pytania: czy rząd austryacki, rzucając rękawicę czechom, uczynił to po dobrym namyśle i przygotował się na wszelkie następstwa tego wyzwania? Dziś stanowczo na to odpowiedzieć nie możemy. Sądzimy wszakże, iż hr. Taaffe zbyt zaufał tym razem swojej metodzie — szycia polityki krytym ściegiem nici administracyjnych. Nie wdając się w ocenę słuszności wzajemnych pretensyj niemiecko-czeskich, przyznać musimy, iż ustanowienie okręgu sądowego niemieckiego w Weckelsdorfie jest postępkiem nierzetelnym, nawet wtedy, gdybyśmy go nazwali prawnym. I jeżeli kiedy można było ugodę wiedeńską uważać za pogrzebaną, to właśnie teraz, dzięki temu rozporządzeniu. Bo rozumie się ujawnia ono, że w niej nie chodziło o pogodzenie i równouprawnienie dwu narodowości, ale o obdarowanie jednej kosztem drugiej, że skoro dziś rząd wbrew punktom umowy dla dogodzenia swoim widokom omija organy konstytucyjne i ucieka się do środków administracyjnych, to nic nie ręczy, że czyniłby to również później, skrępowawszy czechów zobowiązaniami, których oni dotrzymywać by musieli.

Młodo-czesi postawili w Radzie państwa wniosek, ażeby minister sprawiedliwości, Schönborn, który polecił utworzenie okręgu sądowego dla niemców, został za to oskarżony. Rozumie się parlament przejdzie nad tym wnioskiem do porządku dziennego, o czem nie wątpią nawet ci, którzy go podpisali. Ale też nie chodzi im bynajmniej o ukaranie ministra, który zresztą wydał swoje rozporządzenie po naradzie z prezesem gabinetu, pragną oni tylko tym manewrem zaakcentować pogwałcenie prawa i silnie podrażnić opinię publiczną w Czechach. Podobnież gdy Gregr wzywa ludność, ażeby nie kupowała losów na loteryę i nie paliła cygar austryackich, są to pomysły, które przelecą z wiatrem agitacyi i nie wejdą w życie; takie wszakże okrzyki wywierają wpływ, o który głównie chodzi, podtrzymując masy w stanie silnego rozjątrzenia.

Jeżeli hr. Taaffe śmieje się z tych i tym podobnych pogróżek, jeżeli wogóle lekceważy „próżny gniew bez sił,“ może mieć ku temu swoje racye, spoczywające we władzy, dość potężnej dla stłumienia ru-

chu, gdyby ten przybrał niebezpieczne rozmiary. Ale czy prezes ministrów austryackich będzie śmiał się do końca? Czy go konieczność nie znagli do ustępstwa? Wtedy biada jego metodzie, wtedy przegra on nietylko tę jedną bitwę, ale całą kampanię z czechami i będzie musiał przyjąć warunki, podyktowane mu przez zwycięzkich Gregrów.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Czy humor francuski, który z najpoważniejszych spraw krzesze dowcipy, nie opuścił paryżan—nie wiemy, ale że strach ma dla nich dziś zbyt wielkie oczy— to pewna. Już po zaaresztowaniu Ravachola wielu filistrów drżało z obawy zamachu na ich życie; a tu nagle podłożona rękami mściciela bomba wysadziła w powietrze restauracyę, gdzie schwytano owego winowajcę. Od tej chwili „tout le monde“ zaczął dygotać, a obywatele, wylosowani, jako przysięgli do sądzenia Ravachola, wypraszali się od tego obowiązku. Nareszcie znaleziono potrzebny komplet dość odważnych, otoczono trybunał sprawiedliwości wojskiem i wbrew żądaniu prokuratora skazano winowajcę i jego wspólników tylko na dożywotnie więzienie. Pewna część prasy i opinii jest oburzona tą łagodnością wyroku, który rzeczywiście wobec surowości praw francuskich zdradza wpływ trwogi. Zważyć bowiem należy, iż Ravachol nietylko podkładał bomby, ale popełnił przedtem szereg morderstw i zbrodni zwyczajnych. W Paryżu panuje popłoch: publiczność przerażona, a rząd nie wie, jakimi środkami ją ubezpieczyć. Nie brak też wieści przesadnych. Tak np. jedna z gazet doniosła, że odkryto 300 kilkadziesiąt ognisk anarchistycznych, rozrzuconych po kraju a pozostających z sobą w organicznym związku. Wszystko to nie pomaga gabinetowi Loubeta, któremu obok trudnej gry z Izbą spadł jeszcze na plecy ciężar walki z hydrą anarchizmu. To też odezwały się głosy, żądające zaprowadzenia sądów wojennych.

A obok tego wszystkiego trzeba prowadzić wojnę z królem Dahomeju, który posuwa się ciągle w zwycięzkich podbojach. Widocznie jednak rząd francuski chce się przygotować do tej wyprawy należycie i uniknąć klęsk tonkińskich, których naród dotąd nie może zapomnieć i przebaczyć ówczesnym kierownikom państwa.

„Wiele hałasu o nic“ — rzec można po załatwieniu przesilenia ministeryalnego we Włoszech. Zdawało się bowiem, że ono doprowadzi do jakiejś gruntowniejszej zmiany; tymczasem zastąpiono tylko ministra skarbu innym, inne struny na starej lirze pozostały te same. Rudini więc musi odbywać dalej poprzednie wahania.

Świeże wybory do sejmu duńskiego przekształciły w znacznej mierze jego stosunek do rządu. Od lat dziesięciu w Izbie posiadało większość stronnictwo radykalne, nieprzyjazne gabinetowi Estrupa, któremu odmawiało wszystkiego, bo nawet zatwierdzania corocznych budżetów. Niepokonany w tej długiej walce Estrup rządził po za konstytucyą, mając ciągle nadzieję, że nadejdzie chwila przerzedzenia się zastępu jego przeciwników. Jakoż nadeszła po części obecnie. Nowe wybory nie dały przewagi konserwatystom, ale osłabiły radykałów i powiększyły liczbę liberałów umiarkowanych, którzy nie należą do nieprzejednanych i z którymi rząd traktować może.

Turcya uwikłała się swoim firmanem, zatwierdzającym nowego kedywa w Egipcie, w polemikę dyplomatyczną z kilkoma państwami. Po Anglii, która wywarła nacisk na nią w sprawie Synai, wystąpiły Włochy, które zastrzegły swoje posiadanie Massawy. Porta ma zabezpieczyć swe prawa zwierzchnicze osobną notą.

W Wiedniu odsłonięto pomnik Radetzkego, jednego z bardzo niewielu generałów austryackich, który zwyciężał i nie był bity. Zapał „narodowy“ (bo istnieje jakiś naród austryacki) wybuchałby jeszcze goręcej, gdyby nie wspomnienia o surowości bohatera, jako administratora.

BADANIA NAUKOWE.

POSZUKIWANIA STATYSTYCZNE.

Wielokrotnie już w łamach *Prawdy* wykazywaliśmy pierwszorzędny wpływ warunków materyalno-ekonomicznych w ukształtowaniu życia społecznego. Winniśmy jednak zaznaczyć pewne nieporozumienie, którego pastwą stawał się nasz pogląd na istotę społeczną, tj. prawa rozwoju. Otóż możemy z całą stanowczością powiedzieć, że wszelkie zmiany, zachodzące w ustroju społecznym, i wszystkie nowe ideje, które się ukazują w życiu gromadzkiem, są niczem innem, jak odzwierciedleniem przełomu, odbywającego się w stosunkach ekonomicznych. Z tego zdania logiczni krytycy, którzy, niestety, aż nazbyt często odznaczają się arcypowabnym rysem: sądzenia o tem, co znają zaledwie z dziesiątych ust, wywnioskowali, że każdorazowe urządzenia w jakiemkolwiek społeczeństwie winny odpowiadać drobiazgowo istniejącym tam naówczas stosunkom ekonomicznym. Jest to błąd, gdyż owe urządzenia prawno-polityczne nietylko zależą od tego, jakie wymagania stawia dzień dzisiejszy, lecz równie od spadku po ubiegłych pokoleniach — od tego, co możnaby nazwać podścieliskiem historycznem. Rzeczywistość każdoczesna jest takim lub innym kompromisem pomiędzy całokształtem tradycyi historycznej a siłami, posuwającemi społeczeństwo naprzód. Właśnie wymowny obrazek takiego ciążenia przeszłości na teraźniejszości dostarcza nam świeżo wydana książka Alberta Leffingwella *), a dotycząca dzieci, zrodzonych w związku nielegalnym. Składa się ona w gruncie rzeczy z dwóch prac zupełnie odmiennych, związanych mechanicznie wspólnym nagłówkiem. Jedna poświęcona jest — nielegalnym dzieciom w Anglii, druga zaś zajmuje się zbadaniem związku, istniejącego pomiędzy porami roku (a raczej zmianami rocznemi w natężeniu ciepła i światła) a postępkami ludzkimi. Wprzódy zatrzymamy się nieco nad tą ostatnią kwestyą.

Liffingwell jest tego zdania, że zmiany roczne, poczynające się z wiosną a kończące z ustaniem upałów letnich, wywierają na nasz układ nerwowy pewne, wprawdzie nieokreślone, rzeczywiste jednak wpływy, polegające na podnieceniu naszej wrażliwości i w ciągu dalszym na większej żywości wszystkich naszych czynów. Cała trudność jednak tkwi w udowodnieniu tych wpływów, gdyż tylko drobna cząstka po-

*) *Illegitimacy and the Jnfluence of Seasons upon Conduct.* Londyn.

3)

Ideał panny Julii.

OBRAZEK GALICYJSKI.

Czas przestał istnieć dla niej. Nie powiedziałaby, chwile czy godziny zeszły jej tak w oczekiwaniu. Utonęła całkiem w myślach i wspomnieniach. Wszystko, co przeżyła w krótkim okresie kilku ostatnich tygodni, krzyżowało się i napędzało nagle rozbudzone wspomnia lat dawnych. To odczuwała na nowo wszystkie troski, upokorzenia i doznane zawody, jakie ją w nieszczęsnej sprawie brata spotykały — to gwałtownym rzutem wstecz przechodziła wszystkie epoki dawnego, dziecinnego niemal swego dramatu, rozpoczętego bezgraniczną czcią dla mistrza a kończącego się na takiem bolesnem rozbiciu własnego serca. Jakichże wielkich rozmiarów dorastał wówczas w jej wyobraźni ten człowiek, ten mędrzec, który zechciał być dla niej, skromnej kopistki tak bratersko, tak serdecznie dobrym. Czas i oddalenie wiele ujęły z tych fantastycznych form ideału, niemniej czuła się i teraz wzruszoną uprzejmem, jakby z lat dawnych przyjęciem i współczuciem.

— Dużo zmienił się — mówiła do siebie — ale zawsze tak samo dobrym pozostał. Gdyby mógł zrobić co dla mnie! Boże, Boże, gdyby mógł... Lecz gdy już zapóźno? Na całe życie przeklnę wtedy siebie. Sama dobrowolnie opóźniłam sprawę, przespałam ją najniedołężniej dla niedorzecznych, dziecinnych sentymentów. Sama zgubiłam Adasia; nikt inny tylko ja...

Rozpacz opanowała ją bez granic. Niżej spuściła głowę, ukryła twarz w dłoniach i starała się zewnętrznie przynajmniej zapanować nad sobą. Ale napróżno. Nerwy jej, kilka tygodni będące w nadzwyczajnem naprężeniu, odmówiły posłuszeństwa. Napadło ją drżenie, którego zwalczyć nie mogła i czuła, że za lada powodem, wybuchnie potokiem łez.

— A! nieszczęsna jakaś jestem, nic więcej! — mówiła do siebie z niebywałym nad sobą żalem — wszystko zawodzi mię w życiu, prócz męki nic nie mam!

I — co się jej rzadko zdarzało — przy tem przyznaniu własnej niedoli uczuła się ogromnie samotną.

— Prócz męki nigdy nic nie miałam — powtarzała ze wzrastającą w piersiach goryczą.

Naraz uczuła jakieś delikatne, aksamitne dotknięcie. Podniosła głowę. Profesor siedział obok niej na kanapce. Ramię jego, na poręczy oparte, nie dotykając obejmowało ją pierścieniem; drugą ręką lekko dotykał jej dłoni i z wyrazem tkliwego współczucia starał się w oczy jej zajrzeć. Wprzódy, niż myśl, zbudziło się w niej instynktowe poczucie jakieś przyjaznej, współczującej istoty, tego serdecznego ciepła, którego tak bardzo brakło jej w tej chwili. Mimo wiedzy przygarnęła się ku niemu; ujęła jego rękę w obie swe rozpalone dłonie i gorąco ją uścisnęła.

— Mój Boże, nie męcz się tak, pani — zabrzmiał jej w uchu dawny miękki szept, i ramię, spoczywające na poręczy, opiekuńczym ruchem zsunęło się na jej ramiona. Nic jeszcze nie stracone, upewniam...

Ten głos, choć tyle wspomnień naraz w niej budzący, czy może właśnie dla tego ocucił ją w jednej chwili. Żywo podniosła się z kanapki i przesunąwszy ręką po wilgotnych oczach, podeszła do stołu. W milczeniu podążył za nią profesor.

— Czy istotnie nie tracisz pan jeszcze nadziei? Ozwała się wzruszona.

— A no, będziemy probowali wszystkiego, myślę, że przez tamtego — ręką o list uderzył — cośkolwiek wykołatać można.

Panna Julia dostawszy do rąk drogocenny bilecik, gotowa była biedz zaraz.

— Już pani odchodzisz? Nie darujesz mi ani chwilki?

Zatrzymał ją z wejrzeniem, pełnem wyrzutu.

Dlaczegożby nie? Zawdzięcza mu tyle; i samej tak miło, znalazłszy współczującą duszę, podzielić się myślami. Przysiadła na brzegu krzesła. Zawiązała się między nimi żywa rozmowa chwil kilku, w której krótkie a treściwe zdania wypowiadają rozumiejącym siebie tak wiele. On ją o życie jej i projekty na przyszłość wypytywał, ona badała go o jego świat wewnętrzny.

stępków ludzkich, i to zwykle bardzo rzadkich, dzięki swojej jaskrawości, nadaje się do odpowiednich obliczeń. Tu mianowicie należą samobójstwa, wykroczenia przeciwko osobom, napady obłąkania, zapłodnienia. Poprzestaniemy tylko na zanotowaniu ostatecznych wyników, do jakich autor dochodzi w swych studyach. Otóż usiłuje on dowieść, że dążności samobójcze w Europie (i w Japonii, jedynym kraju pozaeuropejskim, z którego nauka obecnie zaczyna otrzymywać dane wiarogodne) stale wzrastają od końca zimy do lipca, wtedy gwałtownie spadają, dochodząc w końcu maja i początkach czerwca do najwyższego swego napięcia. W Anglii np. 60% ogółu samobójstw przypada na ciepłe miesiące roku. Podobnie napady obłąkania stają się częstsze z wiosenną zmianą temperatury. Między innemi autor podaje rezultaty spostrzeżeń, obejmujących 38 tysięcy osób, a z których wynika, że w Anglii liczba zgłoszeń się do szpitalów dla obłąkanych wzrasta w maju po nad przeciętną normę, latem dochodzi swojego maximum i spadać zaczyna we wrześniu. Rzecz godna uwagi, że obie krzywe, przedstawiające graficznie — jedna roczne wahania samobójstwa, druga — obłąkania, są niemal aż do szczegółów równoległe wzajemnie do siebie. Taką samą, choć trzeba przyznać, ledwie dostrzegalną zależność spotykamy w zakresie zabójstw; natomiast nader jaskrawo już występuje ona we względzie zgwałceń, a z tego powodu autor czyni uwagę, że oddziaływanie przyczyn kosmicznych na postępki ludzkie w żadnym wypadku nie jest tak widoczne, jak w tym ostatnim. Dalej Leffingwell usiłuje dowieść, że nawet zapłodnienia zdarzają się najczęściej w kwietniu i maju, chociaż przyznaje, że zależność ta bardzo mało uwydatnia się w dziedzinie związków legalnych i z większą siłą występuje jedynie co do potomstwa nielegalnego. Otóż te fakty w połączeniu z uogólnieniami, zaczerpniętemi ze studyów nad zwierzętami, prowadzą go do wniosku, że ogół postępków ludzkich odznacza się na wiosnę i w lecie większą żywotnością. „Stale a stopniowo wzrastająca wrażliwość nerwowa, właściwa całemu rodzajowi człowieczemu pod każdym stopniem szerokości, niewątpliwie wyładowywa się wtedy w działalności emocyonalnej. Niewielu jest takich, którzy by od czasu do czasu nie odczuwali podówczas dziwnej skłonności do smutku melancholijnego, jakiejś trwogi nieokreślonej i upadku ducha lub rozdrażnienia i niezadowolenia bez najmniejszej widocznej przyczyny. Czy działalność nasza, wywołana tą drogą, będzie dodatnią, czy ujemną, szlachetną lub samolubną, zależeć to będzie od naszego własnego charakteru."

Podaliśmy poglądy Leffingwella zupełnie przedmiotowo. Że postępki ludzkie nabierają wyrazistości z wiosną, jest to fakt, nieulegający najmniejszej wątpliwości, a stwierdzony już oddawna przez niezależne od siebie poszukiwania statystyczne. Cała rzecz jednak polega na wyjaśnieniu tego zjawiska, mianowicie, czy wpływy kosmiczne są jedyną w tym razie przyczyną, jak to twierdzi autor? Rozważmy rys zgwałcenia. Jak już wiemy, autor z całym naciskiem zaznacza, że wpływy kosmiczne występują tutaj jak najwyraźniej. Zjawisko to już podniesiono dawniej i ktoś z powodu takiego właśnie tłomaczenia uczynił uwagę, że pora wiosenna, otwierając człowiekowi salon przyrody, nastręcza większą możliwość do popełnienia tego występku, aniżeli w zimie; podobnie większa obfitość zapłodnień nielegalnych w miesiącach wiosennych może pochodzi w znacznym stopniu z tego samego źródła. Pokrewnego rodzaju zastrzeżenia i uwagi można zrobić i w wielu innych wypadkach, osłabiając tem samem doniosłość, przypisywaną wpływom kosmicznym.

Przejdźmy teraz do drugiej części pracy Leffingwella, poświęconej sprawie dziatwy nielegalnej. Otwiera ją autor zaznaczeniem niemal nużącej jednostajności samego zjawiska z roku na rok w Anglii za przeciąg dziesięciolecia 1879—1889. W Anglii i Walii liczba dzieci nielegalnych wynosi mniej więcej około 42, w Szkocyi 10, w Irlandyi wreszcie 3 tysiące rocznie, a jednostajność ta jest tak uderzająca, że autorowi wydobyła okrzyk charakterystyczny, iż fermer mniej jest pewny średniego plonu z pól swoich, aniżeli statystyk — właściwej krajowi przeciętnej liczby nielegalnego potomstwa. Naturalnie łącznie z tą jednostajnością idzie inna — stałości stosunku procentowego tych urodzeń do siebie w różnych częściach Zjednoczonego królestwa. Corocznie w Szkocyi jest dwa razy tyle urodzeń nieprawych w Anglii i trzy razy więcej w porównaniu z Irlandyą. Nie dość tego. Biorąc pojedyncze hrabstwa kraju, znajdujemy tę samą niezmienność stosunku wzajemnego. Hrabstwo np. Shropshire stale posiada od 1842 dwa razy więcej procentowo urodzeń nielegalnych, aniżeli hrabstwo Surrey, mimo iż pozornie w obu okolicach panuje ta sama cywilizacya, ludzie są tego samego wyznania i znajdują się pod temi samemi urządzeniami. Jeżeli w pewnym roku liczba procentowa zwiększa się w jednem hrabstwie, natychmiast i drugie okazuje odpowiednią zwyżkę. Zaznaczmy, że statystyka sprawdziła to zjawisko niemal od lat 50. Jako zasadę, mówi Leffingwell, możemy uznać ten fakt, że hrabstwa, gdzie w 1842 spotykamy niezwykle wysoką procentowo normę nielegalności, w tej mierze przodują też dzisiaj; że gdzie stała ona wówczas niżej cyfry przeciętnej, tam i obecnie zatrzymała to swoje podrzędne stanowisko. „A zatem owe szczególne różnice istnieją bez zmian poważniejszych od pół wieku. Nie umiemy powiedzieć, o ile można dalej je jeszcze odnieść w przeszłość. Niebadane i niepodejrzywane istniały prawdopodobnie od wieków." Co więcej, w pojedynczem hrabstwie oddzielne gminy odznaczają się nader rozmaitą płodnością nielegalną, która tu i owdzie dochodzi do tego, iż każde siódme lub ósme dziecko jest nieprawnie urodzone, a przytem pomiędzy poszczególnemi gminami spostrzegamy znowu niezmienność owego wzajemnego stosunku procentowego. Taka stałość zjawiska wskazuje, że przyczyny tutaj działające są równie stałemi. Powstaje zatem pytanie co do ich natury. Leffingwell rozpatruje naprzód czynniki, ogólnie wskazywane: nędzę, ciemnotę i wpływy wielkomiejskie. Otóż, o ile idzie o rozmieszczenie nielegalności pomiędzy oddzielne okolice Zjednoczonego królestwa, niepodobna spostrzedz nawet najmniejszego związku pomiędzy nędzą i ciemnotą z jednej strony, a obfitością urodzeń nielegalnych z drugiej. Dzielnice irlandzkie, które właśnie odznaczają się największem ubóstwem i ciemnotą, posiadają w tej mierze najmniejszy procent zdarzeń, tymczasem Szkocya, w której ludność przeciętnie jest najzamożniejszą, a oświata nadzwyczaj posunięta, przedstawia największy zastęp dzieci nieprawych. Zresztą należy zaznaczyć, że w takiej pojedynczej dzielnicy rozmieszczenie nielegalności śród różnych

---

— Zmieniłeś się pan bardzo— rzekła mu szczerze, przy końcu rozmowy.

— Tak pani znajduje?— odparł z uśmiechem człowieka, któremu pochlebia, że na jego „ja" zwrócono uwagę.

— Tak jest, bardzo — rzekła zamyślając się. — Mówiłeś pan niegdyś, że wielki cel w życiu może całkiem pochłonąć człowieka, taki cel... miałeś pan wtedy.

Profesor zamyślił się na chwilę. Pobłażliwy uśmiech przesunął się mu po wypełnionych policzkach.

— Cel w życiu — wyrzekł zwolna — tak, to jedno z najbardziej wartościowych złudzeń człowieka.

— Złudzeń? — obruszyła się żywo.

— Naturalnie — uśmiechał się wciąż. — Cóż nie jest złudzeniem wobec jednakiego końca wszystkich rzeczy?

— Nie mogłabym żyć z tem przeświadczeniem! Po cóż w takim razie wlec tę niewesołą farsę?

— A po cóż ją skracać? Racya w obu razach jedna. Raczej korzystajmy z tego, co mamy...

— To jest, łówmy każdą chwilę weselszą, jaka się nadarzy?

Skłonił się lekko, nie przestając się uśmiechać.

Panna Julia wstrząsnęła głową przecząco, ale nic nie odpowiedziała; przypływ niesmaku zatrzymał jej słowa na ustach. Powstała i żywo żegnać go zaczęła.

Długim, serdecznym uściskiem ściskał jej dłonie. „Jak najlepszy przyjaciel" — przemknęło jej w myśli; gdy nagle ów chciwy, drażniący płomień zabłysnął mu w oczach i tak uparcie wpił się w jej twarz i postać, że instynktownie cofnęła mu swą rękę i śpiesznie ku drzwiom się skierowała.

— Nie gryź się tam pani nad miarę! Gdy tu się nie uda, gdzieindziej trafimy — słyszała jeszcze za sobą ciepłe, przyjazne słowa.

Nie mogła opędzić się przykremu wrażeniu dziwnej sprzeczności.

— Oto prawdziwy przyjaciel — mówiła do siebie, zbiegając szybko po wschodach; lecz jednocześnie jakiś głos ostry wołał z jej głębi:

— Filister, filister!..

Nie dzień jeden, ale parę tygodni zeszło pannie Julii, zanim się jej kłopot cokolwiek naprzód posunął. Nieraz w ciągu tego czasu musiała zabiegać do profesora, to dla zasięgnięcia rady, to dla zdania sprawy z danych poleceń, a codzień drżeć musiała, aby jej nie umknął. Zawsze jednak z niedającą się ukryć radością słyszała, jak mówił:

— Jeszcze na dni parę musiałem odłożyć swój wyjazd.

I twarz mu się rozjaśniała jakby odbiciem tego uśmiechu, który przy tych słowach wybiegał jej na usta.

Jego ciepła dla niej życzliwość zdawała się żadnej nie ulegać zmianie, zawsze widziała w nim oddanego na swe usługi przyjaciela.

Chwilami jednak uczuwała w tym stosunku coś, co ją niemal przerażało: jakieś nagłe jego mieszanie się, jakiś gorętszy uścisk ręki, a nadewszystko ten wzrok natrętny i palący. Były to wszakże chwile. Później wyrzucała sobie, że ma za żywą wyobraźnię, że „w jej wieku" śmiesznie poczuwać się do czegoś podobnego. Mógł mieć jakiś inny niepokój, jakieś przypadkowe roztargnienie; albo to mało przyczyn ku temu? Zresztą zdają się być z żoną zupełnie pogodzeni.

Tym ostatnim argumentem okłamywała samą siebie; w gruncie bowiem była przekonana, że między dwojgiem tak różnych ludzi, jak profesor i jego żona, zarówno zgody, jak niezgody być nie mogło, tylko rozdział nieprzejednany. Zresztą przelotne to były myśli; troska o brata pochłaniała ją tak dalece, że niewiele o czem innem mogła myśleć.

Nakoniec po tylu dniach męczącego niepokoju otrzymała jednego dnia krótki bilecik od profesora:

„Jutro o jedenastej będziemy mieli stanowczą wiadomość, czekam na panią."

Jaka będzie ta wiadomość — równało się to dla niej niepewności wyroku. Noc całą przebyła bezsennie, przechodząc wszystkie szczeble od nadziei do ostatniego zwątpienia; ledwie nad ranem na parę godzin usnęła. Gdy się zbudziła, ranek już był późny, ze dwie godziny tylko dzieliły ją od rozstrzygającej chwili. Aby jakoś czas zabić, wybiegła przejść się do ogrodu. Tu, w cie-

warstw prawdopodobnie pozostaje w zależności od dobrobytu i nędzy mieszkańców. W Szkocyi np. z ogólnej liczby badanych urodzeń 47% przypada na służące, 34% na robotnice i dziewki folwarczne, 8% na córki robotników. Brak jednak szczegółowych danych nie pozwala autorowi podnosić tego zagadnienia. Przechodząc do wielkich miast Anglii, jak Londyn, Liverpool i Birmingham, widzimy, że dają one daleko mniejszą procentowo obfitość dzieci nielegalnych, aniżeli dzielnice rolnicze zjednoczonego królestwa, zaludnione przez względnie zamożną, pracowitą, oszczędną a bogobojną ludność. Londyn np. z roku na rok przedstawia dwa razy mniejszy procentowo zastęp nielegalności, aniżeli już wspomniane, odludne hrabstwo Shropshire. Na podstawie wszystkich tych faktów, Leffingwell wnioskuje, że przyczyna owej różnorodności tkwi w czynnikach zgoła odmiennych, niż te, które rozbieraliśmy. Przyznając religii znaczną siłę tamującą, odmawia jej też roli stanowczej; w Szkocyi np. te ustronia wiejskie, w których resztki purytanizmu utrzymały się najsilniej, przodują całemu krajowi co do obfitości dzieci nielegalnych. Natomiast przypisuje on bardzo wielkie znaczenie ustawodawstwu. Chociaż prawo nigdy nie zapobiega czynowi, nadaje mu jednak tę lub inną fizyognomię; w New-Yorku np. większość angielskich dzieci nielegalnych została uznana za legalną wobec tego, że dla tego aktu wystarcza, ażeby mężczyzna i kobieta, nawet nieślubni, zeznali, iż uważają to dziecko za swoje. Atoli w królestwie zjednoczonem, gdzie to samo prawo obowiązuje na całej przestrzeni, niepodobna za pomocą tej przyczyny wyjaśniać spotykanej różnobarwności. Otóż jedyne wyjaśnienie autor znajduje w tem, co nazywa dziedzicznością, a co my nazwaliśmy podścieliskiem historycznem. Anglia powstała ze zlepku mnóstwa całości niezależnych, podobnie Szkocya, w której jeszcze przed wiekiem pojedyncze klany patrzyły na siebie z największą nienawiścią. Jeszcze wcześniej były to społeczności samodzielne. Każda z nich wypracowała swoje własne zwyczaje i wyrobiła w sobie pewien temperament. Z biegiem czasu znalazły się one połączone w jednej całości społecznej i poddane pod ujednostajniające działanie życia nowoczesnego. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że drogi żelazne, wzrost komunikacyi, taniość dzienników i inne tego rodzaju czynniki wpływ swój wywierają. Lecz tradycya historyczna każdej okolicy stawia większy lub mniejszy opór. Naturalnie, odpowiednio do rozwoju ekonomicznego pewnego zakątka, to znaczenie przeszłości i to panowanie umarłych nad żywymi znikają wolniej lub rychlej, a zarazem zostaje stargana owa stałość procentowego stosunku pomiędzy pojedynczemi okolicami. Pozostała ona niezmienną w ciągu ostatnich lat 50, ponieważ i samo rozmieszczenie sił wytwórczych w kraju nie uległo niemal żadnej zmianie. W ten sposób klucza do rozmieszczenia dzisiejszego nielegalności urodzeń w Anglii należy szukać, według Leffingwella, przedewszystkiem w przeszłości historycznej.

L. K.

LITERATURA I SZTUKA.

STRONICA KRYTYKI ANALITYCZNEJ.

(Dokończenie).

Druga krystalizacya tworzy nowe zalety i doskonałości, ale jednocześnie rozwija wątpliwość. Ta walka wewnętrzna czyni drugą krystalizacyę bardziej natężoną od pierwszej. Widzimy w tym okresie co chwila, iż chodzi o to, aby być kochanym lub umrzeć. Drugiej krystalizacyi brak zwykle w miłościach, które zbyt szybko dochodzą do swego celu. Ale gdy ta krystalizacya jest dokonana, wówczas gałązka bywa nie do poznania pokryta brylantami doskonałości. U osób młodych wszystkie te procesy następują po sobie nadzwyczaj szybko. Wiadomo, iż niepokój młodzieży jest pragnieniem miłości, a cechę pragnienia stanowi to, iż nie jest wybredne. Najboleśniejszym momentem młodej jeszcze miłości jest ten, gdy ktoś spostrzega, iż zrobił fałszywe rozumowanie i że trzeba zniszczyć całą gałąź krystalizacyi. U osób bardziej doświadczonych powyższe stadya nie następują tak prędko po sobie. Rok może upłynąć między 1 i 2; miesiąc między 2 i 3. Mrugnięcie oka między 3 i 4. Niema przerwy między 4 i 5. Mogą być rozdzielone chyba przez stosunki fizyczne. Piąte i szóste stadyum rozdziela zwykle krótszy lub dłuższy czas. Nie ma znowu przerwy między 6 i 7. Gdy mężczyzna znajduje się w siódmem stadyum, kobieta dobiega dopiero czwartego lub piątego i dlatego druga krystalizacya rozpoczyna się u niej zwykle dopiero po zbliżeniu płciowem. Wyobraźnia jej zajęta jest usprawiedliwieniem tak niezwykłego wypadku, a zarazem obawą, czy *on* nie chciał tylko powiększyć liczby swych zwycięztw jeszcze jedną zdobyczą. Ta druga krystalizacya jest tak silna, iż zwykle wszystkie braki kochanka znikają. Dość jej mieć pojęcie jakiejś doskonałości, żeby ją w nim widziała. Toż samo zresztą odbywa się i w mężczyznie. Odkrywamy w istocie kochanej cały szereg doskonałości, które są tylko zadośćuczynieniem naszych ideałów i żądz. Chcecie, ażeby kochanka wasza była czułą — jest nią; dumną — jest dumniejszą od królowej. Oto przyczyna, czemu miłość jest najsilniejszą z namiętności. W innych żądze muszą się zastosować do rzeczywistości; tu rzeczywistość na każdym kroku jest posłuszna naszym żądzom. Jest to więc ta namiętność, gdzie silne żądze mają największe użycie. Piękno dla narodzin miłości jest potrzebne tylko o tyle, o ile brzydota jest przeszkodą. Nie chodzi tu jednak bynajmniej o piękno idealne. Kochanek znajduje wkrótce panią swego serca tak piękną, *jaka jest*, nie myśląc *o istotnej piękności*. Gdy kochankę odział już we wszystkie szaty i barwy swej wyobraźni, nie zamieniłby jej prawdopodobnie na Wenerę. Przed narodzinami miłości piękno jest potrzebne, jako *znak*; ono czyni podatnym do namiętności, dzięki pochwałom, które się słyszy ze wszystkich stron. W ten sposób rodzi się admiracya, pierwsze stadyum uczucia. Kobieta, biorąc kochanka, więcej zwraca uwagi na sposób, w jaki inne kobiety nań spoglądają, niż na to, jakim jej samej się wydaje.

Taka jest w najogólniejszych rysach analiza miłości Stendhala. Psychologowie w rodzaju Taine'a uważają ją za jedną z najgłębszych, jakie względem tego uczucia istnieją. Powróćmy wszakże do pytania, o ile możliwe jest zachowanie kierownictwa nad tą febrą serca. Weźmy mężczyznę, w którym czynniki duchowe Fausta—

---

nistych alejach chłód jeszcze miły panował. Świeżość powietrza, roślinne aromaty, wreszcie sam widok pogodnie zbudzonego dnia orzeźwił ją i natchnął jaśniejszemi myślami. Nadzieja, mimo jej wiedzy, coraz silniej nią owładała. Ten nastrój umysłu odbił się na niej fizycznie. Blade policzki pokryły się świeżym rumieńcem, oczy pełne myśli jak gwiazdy błyszczały z pod cienia długich rzęs. Cała postać wysoka i pełna miała tę miłą dla oka gibkość poruszeń, świadczącą o pełnem wszystkich sił rozwoju. Równym, lekkim krokiem przechodziła aleje, nie zwracając uwagi na przechodniów, którzy z zajęciem oczami za nią wiedli. Bardziej z przyzwyczajenia, niż z rozmysłu schyliła się i zerwawszy parę dzwonków nad dróżką rosnących, zatknęła je sobie za guzik stanika. Czuła się całkiem harmonijnie dostrojoną do tego gorącego już a jeszcze pełnego świeżości przedpołudnia letniego, pełnego życia i blasków.

W ciszy jakiś podmuch lekki przyniósł uderzenia wieżowego zegara. Dobywszy swego zegarka przekonała się z przerażeniem, że już jest jedenasta. Biegąc niemal, rzuciła się do drzwi ogrodu; tu skinęła na dorożkę i nagląc o pośpiech a oczami wybiegając naprzód, szybko puściła się w drogę. Za chwilę trochę niespokojna i wzruszona stanęła przed mieszkaniem profesora.

Od paru godzin profesor znajdował się już w swym gabinecie; jeszcze raz przeczytał podany mu zrana list w sprawie panny Julii, odłożył go na bok, zatarł ręce z wesołym uśmiechem — i nagle posmutniał. Jakaś myśl przykra aż do bólu musiała do głębi go poruszyć; wydał się naraz o dziesiątek lat starszym. Opanowując się, wziął książkę, pióro i zaczął pisać. Po chwili jednak oczy jego nieruchomo zawisły na otwartej karcie; myślą uleciał daleko. Drzwi gdzieś stuknęły na dole; drgnął i oczy niespokojnie na zegar skierował. Odtąd już ani pracować, ani przeszkodzić oczom, aby ku zegarowi biegły, nie był w stanie. Wstawał, chodził po pokoju, porównywał zegarki, poczem przy oknie zatrzymywał się i niby patrząc na przesuwające się nad drzewami obłoczki, co chwila łapał się na wytężonem strzeżeniu furtki dziedzińcowej. Furtka otwierała się często; to stróż wchodził, to kucharka z targu wracała, to wreszcie „handeles"; profesor zły na siebie, a w gruncie na nich, od okna nachmurzony odchodził i za chwilę znowu stał przed niem.

— Gotowa się spóźnić — wyrzekł półgłosem, oburzony na samą myśl tego grzechu o pomstę wołającego. Kobiety nigdy nic akuratnie wykonać nie umieją.

Spojrzał na zegar i ze zdziwieniem przekonał się, że jest zaledwie wpół do jedenastej. Zaczął gorączkowo chodzić po pokoju.

— Doprawdy, chyba rozum tracę—rzekł, siląc się na ironię.

Powiódł ręką po czole, dłoń stała się wilgotną.

— Więc tak! — wybuchnął nagle. Może to być rozumnie, albo nie, ale fakt jest, więc być musi!.. Jestem człowiekiem, jak wszyscy inni, mam prawo być szczęśliwym!

Podniósł czoło do góry i niecierpliwie ręką po bujnej brodzie przesunął. Wyjaśnienie położenia zdawało się wszelkie wątpliwości przecinać. Przeszedł się jeszcze parę razy po pokoju i powrócił do książki. Czytał czy marzył, możeby sam nie umiał określić, stał się jednak spokojniejszym i czas mu prędzej przechodził.

Nareszcie! Turkot dorożki umilkł przed jego domem. Nie widząc, wiedział, kto przybywa. Z zapartym w piersi oddechem siedział, bojąc się poruszyć, nie odwracając oczu od książki. Z pod spuszczonych powiek wzrok sypał skrami.

Dzwonek — zna to energiczne szarpnięcie! Porwał się i blednąc nagle, oczy wbił we drzwi.

Otworzyły się. Lekka, zgrabna, uśmiechająca się wzrokiem i ustami panna Julia jakby płynęła ku niemu. Cała świeżość poranku wtargnęła z nią; w pokoju zrobiło się nagle jasno, gwarno, wonno; tysiąc jakichś głosów zawołało: ona, ona, ona!

(D. n.).

W. Dal.

entuzyazm, bogata wyobraźnia i namiętna, choć egotyczna uczuciowość — łączą się z czynnikami duchowymi Mefistofelesa — smak czynu, zmysł praktyczny, ironia. Nie jest to przypuszczenie niemożliwe: sam Goethe je do pewnego stopnia urzeczywistniał, przedstawiając istotnie harmonijną jednostkę, „olimpijczyka,“ którego, niestety, w tragedyi swej rozdwoił, z oczywistem zamiłowaniem dla Mefista. Nasz nowotwór psychologiczny spotyka jakąś jasnowłosą lub czarnowłosą nimfę z postawą Dyany, grzywą, która przypomina dojrzałe kłosy pszenicy lub krucze skrzydło, o oczach niebieskich i głębokich, jak dwa jeziora szwajcarskie, albo też czarnych i palących, jak dwie kule ogniste — czuje, iż owłada nim, pomimo woli, febra miłosna i że jest w stadyum pierwszej krystalizacyi. Stara się piękną swą, jeżeli choruje na anti-estetykę, wtajemniczyć w czary światła księżycowego, jęków słowiczych i szumu kaskady. Znajdują się pod wieczór w samotnym lesie — nimfa ustroiła swe skronie w wianek z traw i bluszczu, który przy srebrzystem świetle wschodzącego księżyca czyni ją tak podobną do Dyany, iż sądziłbyś, że któraś z dzikich kóz i sarn, które się błąkają po sąsiednich górach, przyjdzie i legnie u stóp swej pani. Słowacki w takich razach narysowałby jej jakiś wspaniały wąwóz, w którym byliby tylko oni, róże i słowiki, lub klękając, prosiłby, żeby mu towarzyszyła aż nad sosnowe bory, aż nad szczyty śnieżne, gdzie stad jęczą dzwony i orły skrzydeł rozwianych żałobą przyćmiewają lecące chmury, albo też — w skwarne południe do jakiejś groty lub kaplicy pełnej ciszy i kolorów. Shelley szukałby także ustronia, którego żadna stopa ludzka nie dotknęła i do powyższych obrazów dodałby jeszcze następujący: w nocy będziemy mówili tak długo, dopóki harmonia naszych słów stanie się zbyt słodką, żeby ją wyrazić słowami — zamrze, żeby się odrodzić w spojrzeniach, przenikających do głębi serca. Poczem ręce nasze się połączą, piersi się zczepią i najtajniejsze źródła naszych istot się zmieszają w złotym ogniu namiętności, jak dwa zdroje górskie mieszają się w ogniu południowego słońca. Gdyby zapaleńcy ci spojrzeli wówczas na swe nimfy, na pewnoby spostrzegli, że one ukradkiem wyjmują z kieszeni orzechy lub ziarnka słonecznika i starannie je gryzą. Ale oni nigdy tego nie spostrzegają i hołdując obrazowi, który własna ich fantazya utworzyła, iść będą ślepo aż do końca drugiej krystalizacyi, gdzie chodzi o śmierć lub życie i wlec będą zwiędłe swe serce u stóp dumnej owcy. Faust podszyty Mefistofelesem napewnoby spostrzegł orzeszki i słonecznik. Pewna wprawa psychologiczna i odpowiedni rozwój woli doprowadzą do tego, iż pod palącymi promieniami ironii kryształki źle umieszczonego uczucia rozpadać się będą. W przeciwnym razie przyjdą w pomoc różne systemy leczenia, którym psychologia niewątpliwie nada kiedyś racyonalne podstawy. Bourget podaje w swej „Fizyologii“ następujące, przypuszczalne. Miłość jest syntezą, w którą wchodzą czynniki zmysłów, serca, głowy, a po części popędy krwiożerczości i hazardu. Trzeba wywołać analizę tego splotu i każdemu z czynników znaleźć należyty odpływ: odpowiednią hygieną płciową, jakiemś przywiązaniem lub poezyą, pracą umysłową, polowaniem i grą. „Analiza“ nie osłabi więc wcale namiętności—w normalnym mózgu wszystkie pobudki i wyładowania zostaną zawsze potężne — przeciwnie, spotęguje je, przynajmniej w jakości, pozwoli jednak zastosować do nich cały system świadomego kierownictwa i leczenia. Człowiek powinien, o ile można, stać się panem nietylko swych czynów, ale i uczuć. Być narzędziem ślepem w ręku uczucia lub instynktu choćby najszlachetniejszego, to także niewola. *L. W.*

TEATR.

Maryan Gawalewicz, *Perła*, obrazek dramatyczny w jednym akcie. Zygmunt Przybylski, *Schadzka*, komedya w jednym akcie. Michał Wołowski, *Parawanik*, komedya w jednym akcie.

Dla uczczenia pamięci i przyjścia z pomocą rodzinie ś. p. Jana Tatarkiewicza, który wielostronnym swym talentem i sumienną pracą zjednał sobie za życia szacunek i niezwykłą sympatyę ogółu, Teatr Wielki urządził w niedzielę poranek dramatyczno-muzyczny. Wykonano na nim parę kompozycyj zmarłego artysty, p. Rakiewiczowa wygłosiła piękny wiersz okolicznościowy p. Gabryela Kempnera, wreszcie odegrano po raz pierwszy trzy podane tu w nagłówku utwory sceniczne. *Schadzka* i *Parawanik* są, właściwie mówiąc, przelotnymi tylko żartami, którym przystoi miano fars zaledwie, lecz żadną miarą nazwa komedyj. Napisane są zresztą bezpretensyonalnie, dla chwilowej uciechy widza, nie kusząc się bynajmniej o wypowiedzenie jakiejś idei, o odmalowanie sfery lub typu. Pan Przybylski bawi nas tedy powikłaniami, jakie wynikły stąd, że dwoje sąsiadów letników, człowiek żonaty i kobieta zamężna, w trakcie tajemnego w lesie flirtu zostali spłoszeni, potem zabłąkali się i jedno o drugiem nie wiedząc, zeszli się o zmroku w jednem i tem samem miejscu. Oboje błagają pomocy gajowego, który drwa rąbie, oboje żalą się przed nim, zbrzydziwszy sobie wszelkie zakazane amory, jedno gada na drugie, nie wiedząc, że jest słyszane i wywiązuje się gwałtowna sprzeczka, zakończona porozumieniem, w którem nie ma już śladu flirtu, a tylko chęć otumanienia chłopa, który wszystko przewąchał, i obawa skandalu za powrotem do domu. Sama bajka jest od *a* do z łańcuchem naciągań i konceptów operetkowych niemal, ale wartość jej znacznie podnosi wyborna postać gajowego, który na chwilę ze sceny nie schodzi, jest niezrównanie typowym i prawdziwym w rozmowie ze sobą i parą niefortunnych amantów, a że w dodatku gra go p. Galasiewicz wyśmienicie, więc każdemu jego słowu wtórują szczere wybuchy śmiechu. Uczestnikami schadzki byli pp. Barszczewska i Szymanowski, którzy grą żywą do tonu ogólnej werwy dobrze się dostrajają.

W *Parawaniku* widzimy piękną wdówkę, która jednocześnie kilku konkurentów darzy obietnicą swej rączki, jednemu daje urzędowy tytuł narzeczonego, żeby nim osłonić przed światem swoje dobre imię i wreszcie sama wystrychnięta zostaje na dudka przez panów. Początkowo wchodzili oni sobie w drogę, radzi jeden drugiego w łyżce wody utopić, aż pewnego razu, spotkawszy się pod nieobecność wdowy, zwierzyli się sobie ze swoich nadziei, zmiarkowali, że są brani na fundusz i pogodzeni dali piśmienną a wielce kompromitującą, zbiorową odprawę wyrachowanej swej bogdance. Źródłem komizmu są ich wzajemne utarczki i podstępy, oraz dosadność typow, które zresztą miejscami, jak w baronie — bankierze Nelsońskim, przybierają rysunek poważniejszy i trochę subtelniejszy.

Efektowne role wzięli na siebie pani Lüde oraz pp. Leszczyński, Wolski, Wojdałowicz i Frenkel, z których dwaj ostatni starannością gry szczególnej się wyróżniali.

Za główny klejnot widowiska poczytano bezwarunkową większością głosów *Perłę* p. Gawalewicza, mając zapewne na względzie literackie obrobienie wiersza, który brzmi prawie wszędzie bardzo harmonijnie, płynie gładko i ku najwyższemu zadowoleniu przeciętnych słuchaczów —„potoczyście.“ Szpecą go atoli pewne zbyt już rażące banalności, jak np. „odsłonić duszę,“ w których jest wszystko, prócz estetyki. Jeśli jednak chodzi o treść, to tylko z mnóstwem zastrzeżeń przyznać jej można jaką taką wartość. Autor wybrał fabułę, która w rękach mniej pieszczotliwych a bardziej artystycznych mogłaby rozwinąć się w piękny, Mussetowskiego rodzaju, dramacik. Rzecz dzieje się w pracowni Leonarda da Vinci. Na stalugach niedokończony portret Mony Lisy — znajduje się on obecnie w galeryi Luwru — na cześć jej, jako królowej piękności, wielki malarz urządza zabawę z żywymi obrazami, śpiewami itd., ubóstwia ją bowiem. Wkrótce ma ona sama przybyć, by otrzymać wieniec laurowy w hołdzie i pozować swemu genialnemu wielbicielowi. Ale poprzedniczka jej w sercu Vinciego, namiętna Marguerita, nie może tego przenieść na sobie i postanawia otruć rywalkę pucharem wina, w czem obiecuje jej pomoc współpracownik Leonarda, Francesco Rustici, pałający również zemstą ku Monie. Już urocza modelka wyciąga dłoń po podany jej przez Margueritę kielich, gdy spostrzega na palcu jej perłę tak wielką i piękną, że wnet zapomina o winie, o wszystkiem, co się dokoła niej dzieje, o swoim kochanku, unosi się w zachwycie nad klejnotem, modli się do niego i wreszcie wyłudza od właścicielki. To jej uratowało życie, ale i mistrzowi zdejmuje bielmo z oczów. Ideał jego rozpłynął się w próżność, płytkość i żądzę błyskotek. Wtedy to staje nad nim niedoszła trucicielka i rzuca mu do nóg wyznanie miłości, niewygasłej dotąd. On, idealny, nadziemski, karci ją surowo za gwałtowność, potępia zamysł zdradziecki i popycha do tego, że zrozpaczona chwyta czarę i wypija przyrządzoną przez siebie truciznę... Na szczęście duch Jerzego Ohneta czuwał nad nią i przy pomocy autora sprawił, że jad to był domniemany tylko, Rustici bowiem widząc szaloną zaciekłość Marguerity, pozornie przystał na jej plan, lecz napoju nie uczynił zabójczym.

Mdło to, nad wyraz mdło zakończenie, tak żywo przypominające *Właściciela kuźnic*, nie jest jedynym momentem w tej sztuce, pdbierającym jej smak choć trochę wytworniejszy. Decydująca chwila dostrzeżenia perły pomyślana jest tak grubo, trywialnie, kłamliwie, jak gdyby była ilustracyą do jakiejś moralnej przypowiastki dla dzieci. Deklamacye Leonarda i uniesienia są pospolite, jak poezye kalendarzowe. Efekta sceniczne niewątpliwie urozmaicają utwór, ale mają one w sobie akurat tyle z Odrodzenia, ile p. Gawalewicz z Benvenuta Celliniego lub Leonarda da Vinci. Autor czerpie tematy z epoki siły, namiętności i wiedzy, ale żeby je zrozumieć i opracować, trzeba mieć również siłę, namiętność i wiedzę, a bodaj jeden z tych czynników. To strojenie się w pióra ptaków tak wielkich, poetycznych i pięknych nie mami bardziej badawczego oka. Radzimy szczerze maskarady tej zaniechać.

P. Kotarbiński jako Leonardo, ucharakteryzowany ściśle według jego autoportretu, zrobił z roli swej całość harmonijną i możliwie głęboką. Panna Marcello jako Marguerita, jak zwykle zanadto rzuca swą figurą i egzaltuje dykcyę. Pani Lüde jako Mona Lisa gra bez zarzutu. Rzecz wogóle wystawiona ozdobnie i bogato, powinna mieć powodzenie.

R.

ŚROD MUZ.

IV.

Obrazy Siemiradzkiego.

Bohaterem obu Salonów naszych, a więc zarówno Towarzystwa zachęty, jak i Krywulta, jest w chwili obecnej twórca „Świeczników chrześciaństwa,“ czyli jak się dziś u nas pospolicie mowi, „mistrz Siemiradzki.“ Można więc oglądać kilka obrazów jego naraz, nasycić wzrok szafirowem nie-

bem południa, nakarmić upodobania plastyczne, jeśli je kto ma, widokiem mnóstwa pięknych, acz smagławych nagości, napoić dowoli zmysł archeologiczny bogatemi w marmur, porfir i alabaster ozdobami itd. Powie kto może, że nie na wszystkich płótnach owych powabne te żywioły się znajdują i że nadto pochopnie określamy ogólny charakter motywów, ulubionych przez tego artystę? Zarzut ten z całą ochotą przyjmujemy, bo w rzeczy samej jeszcze nie przyjrzeliśmy się dokładnie nowowystawionym dziełom Siemiradzkiego, a już mogliśmy zgóry, na pamięć wiedzieć, co ich treścią będzie. Samo ogłoszenie w pismach lub na afiszach o przybyciu takich a takich utworów jego, już właściwie starczy za bliższy opis obrazów i zawiera w sobie *anticipando* efekta neapolitańskiego lazuru, złote naramienniki i partye architektury, słowem to, cośmy widzieli skupione w jedno muzeum na pierwszym wielkim obrazie, tj. „Pochodniach Nerona,“ a także w drugim, rzeczywiście pięknym i starannym: „Wazon czy kobieta?“

Inaczej mówiąc, skalę tematów Siemiradzkiego nie uważamy za nader rozległą, z czego zresztą poważnej nagany czynić nikt by nie miał prawa, ile że ciasnota błędnego koła pomysłów bywa nieraz świadomie obraną specyalnością i kojarzy się nieraz z nazwiskami prawdziwie sławnemi, jak np. Blumen-Brueghela, który malował same kwiaty, lub Bauern-Brueghela, który zarówno osobą swoją, jak i natchnieniem nie rozstawał się z karczmą, jak Claus Mayer, Grützner i wielu, wielu innych między żyjącymi i umarłymi. Skrawkiem tedy, lub jeśli kto woli, waryantem rzeczy dawnych jest „Dziewczyna u źródła“ a także „Powrót z uroczystości Bachusa.“ Tam prócz figury zaznaczonej w nagłówku główną rolę odgrywają stopnie kamienne, struga wody i pacholę nagie a czarne, które rozciągnęło się na schodach leniwie i niedbale, ukazując wszystkie szczegóły swego gruntowego negliżu. Znany już powszechnie zlekka marzycielski, elegijny nastrój wszystkich bliźniaków tego obrazka i tutaj wrażenie pewnej poezyi lirycznej osiąga. W „Powrocie“ zaś widzimy sztuczkę, przyrządzoną wedle odwiecznej recepty wszelakich orgij i bachanalij. Cała różnica między nią a innemi na tem polega, że zamiast samego festynu mamy jego resztki, w postaci grupy upojonej, tańczącej, wesołej, w której *comme de raison* nie brak osła, pieszczot, tyrsów, pięknej zieleni i rozkosznego pejzażu. Wszystkie jednak kobiety są do siebie podobne; wszystkie świadczą, że artysta, uroiwszy sobie raz pewien typ klasycznej urody niewieściej, nie potrafi go oddać w paru egzemplarzach, lecz wyraża zawsze jednym i tym samym profilem i mdłym wyrazem oczów. Ta jednostajność figur odbiera płótnom Siemiradzkiego znamiona prawdziwego, podpatrzonego życia, a nadaje im piętno szablonów, wykonanych smacznie dla połechtania bogatego lub przeżytego panka, który zna się na sztuce jak kura na pieprzu i daje się bez trudu schwytać na lep głośnego nad ramą podpisu albo w najlepszym razie na ogólną sylwetę kompozycyi, bardzo często, jak w „Powrocie z bachanalii,“ harmonijnej, okrągłej liniami swemi. Malarz ten ma niezmiernie słabe poczucie indywidualności, a natomiast celuje tak zwanym dobrym smakiem. Ludzie więc jego są zawsze manekinami, a całe obrazy zawsze doskonałą i przyjemną niewątpliwie ozdobą eleganckiego gabinetu lub salonu. Są one wytworne, ale tą wytwornością warsztatu lub hurtownie produkującej fabryki, która na wyrobach swoich wyciska ślady wyśmienitych maszyn, ale nie może użyczyć każdemu z osobna własnej duszy. Pracownikiem bowiem, technikiem jest Siemiradzki doświadczonym, a nadto i smakoszem wdzięcznej, nie oryginalnej, nie silnej, ale „poetycznej“ przyrody.

To też kiedy mu wolno, z natury wybranego motywu, posługiwać się wyłącznie fantazyą i pamięcią zakochaną w południu i kiedy nie ma się prawa sądzić go probierzem przedmiotów, barw i kształtów realnych — wówczas jest w swoim prawdziwym żywiole i potrafi wznieść się na wyżyny artyzmu, jeśli nie oryginalnego, to w każdym razie poetycznego poezyą niepodrabianą. Dotyczy to szczególnie „Pokus św. Hieronima,“ z których wyziera umysł mniej płytki i szeroka, wykwintna werwa dawnych malarzów włoskich. Piękny jest i pełen polotu ów korowód niewiast powietrznych, które ze światłami w dłoniach, z pucharami wina, wieńcami, muzyką, unoszą się nad głową ascety. Jako całość, grupa to niewymownie malownicza, rozmaita, iście bujająca, lekka, falowna i w liniach ponętna. Ciała niektórych wypracowane są starannie, twarze stereotypowe, no ale nimfom i bachantkom wyobraźni wolno być takiemi. Rozwiane śmiało i fantastycznie tiule i gazy ozdabiają je niepospolicie. A co najważniejsza, że jedna z kusicielek, grająca na lirze i oparta o skałę męczennika, ma szczery, prawdziwy wyraz zadumy i jak gdyby litości i stanowi główkę przepiękną. Najcenniejszym jednak momentem jest postać samego świętego — ta już odrazu wskrzesza w myśli widza świetną tradycyę „Pochodni Nerona.“ Męczennik oparty o swój improwizowany ołtarz w grocie pod sklepieniem drzew, śpi z oczyma niedomkniętemi, półotwartemi usty, splecionemi nad głową rękoma, ot, schwytany w trakcie czytania świętej księgi przez znużenie, głód, pragnienie raju, którego się wyrzekł. Na twarzy jego ból, graniczący z rozpaczą, sieroctwo, długie pasmo rozmyślań i utrapień maluje się z prawdą i siłą, której nie powstydziłby się Flaubert dla swych „Kuszeń św. Antoniego.“ Dzieło Siemiradzkiego nasuwałoby domysł, iż zrodziło je czytanie posępnych i gorączkowych wizyj męczennika z Thebaidy, opisanych przez wielkiego autora *Salammbô*, gdyby tego rodzaju domniemanie w stosunku do dziatwy Apellesa, wogóle nie było mocno ryzykownem.

Jakkolwiekbądź w układzie obrazu, a zwłaszcza samej postaci św. Hieronima snadź plan obmyślany i nie wyblakłe jeszcze w słońcu pracownianem uczucie ludzkie.

Zwracamy uwagę salonu Krywulta, że płótno, chociaż słusznie oddalone od okna, wisi jednak w miejscu, gdzie już za wiele mroku; skutkiem tego lewa połowa obrazu wymaga nazbyt wielkiego wysiłku oczów.

Również w szczęśliwej chwili ujrzało światło dzienne malowidło takich samych rozmiarów p. t. „Z pociechą i pomocą.“ Jest ono nawet pewną niespodzianką, a to ze względu na temat, całkiem rodzajowy, a więc ze zwykłym repertoarem Siemiradzkiego niezgodny. Składają się nań w jednakowej mierze figury ludzkie i krajobraz, bardzo urozmaicony i daleki. Scena nie jest pozbawiona sentymentu, nie wpada mimo to w czułostkowość. Siostry miłosierdzia, które przybyły z zapasami żywności i dobijają się do bramy dużego dziedzińca, nie uderzają niczem osobliwem, ale charakter i naturalny wyraz posiada grupa osób, przyglądająca się im ciekawie. W postawach i twarzach dwu wyrostków, a także kobiety z dzieckiem na ręku i przytulonym do jej spódnicy bębnem dobrze uwydatnia się silne zajęcie tą niezwykłą wizytą, chociaż i tu rysy niewiasty niczem, ale to niczem zgoła nie różnią się od innych fizyognomij kobiet Siemiradzkiego i to nawet tych, co biorą udział w jego orgiach, elegiach i idyllach. Przyznajemy wszakże, iż najwięcej w całym obrazie podoba się nam samo tło pejzażowe. Owe pół rozwalone, starowłoskie wrota z Matką Boską nad łukiem, owe zwietrzałe mury, zagroda na planach dalszych, wyborna zieleń trawy i piękny, rozległy widnokrąg Apeninów, robią tu takie wrażenie, jak gdyby dla nich właściwie artysta wziął pędzel do rąk, a resztę dodał dla tłumów, jak gdyby pociągnięty na wycieczce dojrzanym przygodnie motywem o charakterze ruiny i zwalisk oraz jego naturalnem otoczeniem, o nie głównie w pracy swej się troszczył.

Na sam koniec zostawiliśmy „Uwieńczenie Kopernika.“ Z sali ratuszowej, dokąd ściągało tłumy płótno to, znacznej wielkości, świeżo przeniesione zostało do Zachęty i umieszczone tam, gdzie parę dni temu rozpościerał się ogromną swą płachtą Jose Garnelo. Zarządowi Towarzystwa można tylko pochwalić, że przeznaczył osobny kącik na wszelkie takie okazy tandety. Przynajmniej zwiedzający będą odtąd rozumieli, że w owem pozornem *sanctissimum* wystawy pleśnieją odpadki artystyczne, jakoby w pewnego rodzaju lamusie lub składzie niezdatnych do użycia dekoracyj teatralnych. Przykro nam tylko bardzo, że z nim na czas jakiś złączyło się imię wielkiego naszego astronoma. Czem zawinił autor dzieła *De revolutionibus orbius coelestium* względem autora niemniej wiekopomnego dzieła p. t. „Świętojański robaczek,“ że został wzięty za przedmiot malarskiego niedołęztwa, blagi czy nadmiernego przywiązania do rubli?.. Co ma wspólnego duch, który „wstrzymał słońce — wzruszył ziemię,“ z tą komiczną apoteozą, zbyt płaską i banalną nawet wtedy, gdyby jej bohaterem był drugorzędny aktor lub śpiewak? Pan Siemiradzki oburzył już na siebie niejednego pono miłośnika sztuki tem, że miasto zamówionego złota dał mu przez pośpiech czy niedbalstwo ordynaryjny mosiądz, ale to są sprawy prywatne, w które nie mamy prawa wtrącać swoich trzech groszy. Co innego wszakże, gdy maluje dla gmachu publicznego, a jak w obecnym wypadku dla biblioteki uniwersyteckiej i co innego, gdy bierze za przedmiot chlubę powszechną, geniusz, świecący promienną gwiazdą nad dziejami — wówczas zaciąga on względem ogółu i wobec sztuki obowiązki, których żadną miarą stawiać nie można na równi z zadaniem przystrojenia cudzego buduaru. Trudno było żądać od tego malarza, ażeby obraz alegoryczny pojął w sposób zbliżony bodaj do upodobań nowoczesnych, choć przecie aula wszechnicy Jagiellońskiej świadczy, że dokazał tego i dokazał niemal mistrzowsko o wiele starszy Matejko. Niechby więc płótno pokryte było kobiecemi figurami, niechby zaludniono było całym babińcem muz i symbolicznych ich kuzynek rozmaitego stopnia. Niechby wreszcie wianki, emblemata, drzewo laurowe i magazyn marmurów różnego koloru i ceny miały wyrażać wielkość uczonego, odkrywcy, ale dlaczego pojedyncze te epizody, nie łączące się w żadną rozumną całość wykonane są tak licho, niesmacznie, że po prostu uwierzyć się nie chce, iż to malował Siemiradzki? Jejmość, trzymająca księgę w ręku, to pucołowata i żółta parodya twarzy antycznych, sąsiadka jej z cyrklem w ręku ma minę nieśmiałą i zawstydzoną, jak gdyby ją do grupy tych lalek wciągnięto gwałtem; anioł ze swą nieprzyzwoicie podgarniętą koszulą — ma to być draperya poetyczna — jest po prostu trywialny; dziewczyna z równianką kwiecia łącznego, mglista i brudna w tonie, a przytem odwrócona plecami, choć o nią powinnoby tu chodzić najmniej. Samo wreszcie popiersie Kopernika każe nam wznosić dzięki, że Siemiradzki nie jest rzeźbiarzem. Jedno, jedyne drzewo, co wypadło trochę lepiej, no, ale tu hołd się składa nie paru gałązkom bobkowym, lecz sławnemu bohaterowi ducha.

Cezary Jelenta.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WIĄZANKA KRAKOWSKA.

24 kwietnia.

Swięta. — Zgromadzenie. — Milewski. — Zapomogi na badania. — Stara synagoga. — Wspomnienie fejletonisty. — Teatr. — Wiec Czytelni.

Alleluja! Dla kościoła Panny Maryi ukończono właśnie szybę witrażową, a znawca fachowy, prof. Łuszczkiewicz uznał, że jest bez zarzutu. Gdyby równie chwalebnie można się wyrazić o pracowitości i ruchliwości dzielnych krakusów... Co prawda, przyznać należy, że pracy przed świętami mieli niemało... Bo któż biegł przyjmować „rodaków," przybywających tu ze Szlązka na uroczystości wielkanocne, kto przygotowywał się na gorące przyjęcie chłodnego, ale za to starego zwyczaju „śmigusu," który pono w katechiźmie butnych szlachciców na zagrodzie jest drugiem przykazaniem. Zajęcia te tak dalece pochłaniały czas i umysł naszych obywateli, że zwołane na 10-go kwietnia walne zgromadzenie członków pow. kasy dla chorych z powodu braku wymaganego kompletu do skutku nie przyszło. Odroczone więc zostało na dwa tygodnie, poczem odbędzie się już bez względu na ilość obecnych. Myślą tu poważnie nad wynalezieniem automatu, któryby sam, za wrzuceniem kilku ziewnięć, stawiał i uchwalał pewne, mniejsza o to jakie, wnioski. Jeżeli się zaś zdarzy, że ktoś zdobędzie się na myśl samodzielną, praktyczną, żywotną, to co prędzej rzucą ją do kotła ogólnej niechęci, a pokażą światu dopiero w postaci — pary lub przykrego wyziewu. Taki był los tutejszego „Związku literackiego." Opowiem wam o nim później, ponieważ na razie zajmuje nas tu najwięcej kwestya regulacyi waluty, a raczej kandydatura p. Milewskiego. Milewski, prof. ekonomii społecznej przy uniwersytecie jagielońskim, powołany na członka ankiety, która miała wypowiedzieć swe zdanie w sprawie zaprowadzenia waluty złotej w Austryi, wymową i znajomością przedmiotu pozyskał nietylko uznanie ogółu, ale i zachwyt ministra Steinbacha. Ponieważ dotychczasowy poseł z miast Stanisławowa i Tyśmienicy, Biliński, złożył mandat, więc na jego miejsce postawiono kandydaturę Milewskiego, którą centralny komitet przedwyborczy krajowy zalecił. Opozycyę stanowi partya postępowa, demokratyczna, klub lewicy sejmowej, w której imieniu dr. August Sokołowski w Stanisławowie poparł kandydaturę p. Zatheya. Prawdopodobnie Milewski zostanie wybrany.

Partya konserwatywna sejmu tak dalece nie może sobie dać rady z rozplątaniem węzła nowych projektów, że członkowie jej uprosili Dunajewskiego, aby podjął się czuwania nad przeprowadzeniem planów. Następna sesya pokaże, czy Dunajewski wpływem swoim na stanowczość obrad wpłynie. W obecnej kadencyi sejmowej zaznaczyć należy dwie uchwały. Przyjęto wniosek komisyi budżetowej względem udzielenia zapomogi na lata 92—95 dla wyprawy naukowej, której celem jest zbieranie materyału do historyi polskiej z archiwów watykańskich i innych rzymskich. Odnośną petycyę wniósł prof. Smolka. Zasiłki takie sejm wyznacza już od czasu otworzenia przez Leona XIII archiwów watykańskich i od 87—89 r. po złr. 1,500, od 89—92 r. po złr. 1,500, nadto ministeryum oświaty od 89—94 r. wyznaczyło po 600 złr. rocznie. W pierwszych latach zebrano obfity materyał do okresu rządów Stefana Batorego, Zygmunta III i Władysława IV-go. Druga uchwała dotyczy opieki publicznej nad budowlami i pomnikami. Konserwatorowie Galicyi zachodniej bowiem, nie mając żadnej władzy wykonawczej, wnieśli petycyę o usunięcie sprzeczności między ich zadaniem a niemożnością wypełniania go. Sejm polecił zatem wydziałowi krajowemu zbadanie kwestyi, o ile wzmocnienie wpływu publicznego na utrzymanie budowli i pomników historycznych przez przepisy prawne byłoby pożądane. Wobec panującego u nas nieposzanowania dla „pamiątek," które nie są relikwiami kościelnemi, przepisy prawne, nakazujące trochę szacunku dla — prochów, bardzo są potrzebne. Jest tu, naprzykład, stara synagoga żydowska, bardzo stara, bo pochodząca z wieku XIV. Zewnętrznie przeraża — niby rozkładające się cielsko olbrzyma, wewnętrznie — odraża brudami, niechlujstwem, nędzą. Własnym, nadzwyczajnym ciężarem ściany opuściły się w ziemię tak, że obecnie do wnętrza schodkami, jakby do podziemia się wchodzi. Jeszcze kilkanaście lat, a śladu z niej nie będzie, jeżeli zaś postoi dłużej, to stać będzie pustką, bo najgorętszy zapał religijny nie zdoła chyba przezwyciężyć strachu, jaki budzi ten zimny grób. Kraków chwali się posiadaniem starej synagogi, lecz o jakiemś odrestaurowaniu jej nie pomyśli. Teraz, co prawda, grono owych konserwatorów Galicyi zachodniej stara się odzyskać niedawno skradzione z tej synagogi przedmioty. Sprawców nieodszukano jeszcze, a szkoda — wielka. Największą wartość wśród przedmiotów skradzionych ma podobno kielich rytualny, srebrny, pozłacany z w. XVII-go.

Zaczęło tu wychodzić czasopismo społeczne. Okazał się obecnie drugi numer. Fejleton kronikarza, pełen charakterystycznych anty-stańczykowskich barw, zawiera między innemi śliczny obrazek, ilustrujący znakomicie sposób jednania sobie ludzi, praktykowany przez rząd galicyjski. Kronikarz opowiada: „Prosił mnie pewnego razu p. Kazimierz hr. Badeni, przez p. Englischa (podówczas dyrektora policyi), bym zaniechał wydawnictwa broszury pod tyt. „Marya Vetschera." Uprzejma prośba, piękne słówka na temat wdzięczności i ofiarowana mi rekompensata w formie posady współpracownika „Gazety lwowskiej" z dość znaczną pensyą, zniewoliły mnie do zadośćuczynienia życzeniu pana hrabiego. Ponieważ pierwszy arkusz wspomnianej broszury był już złożony, więc za poniesioną, faktyczną stratę wyasygnowano mi złr. 100. Za grzeczne zaś ustępstwo, które naraziło moją kieszeń na stratę 2000 złr. i odebrało mi możność wypowiedzenia wielu ciekawych uwag w głośnej swego czasu sprawie — miano mnie powołać na posadę do Lwowa lub też stworzyć nową dla mnie (korespondenta) w Krakowie. Stało się jednak inaczej. Złożyłem wizytę p. hr. Badeniemu i dowiedziałem się od niego, że sprawa między mną a nim została już załatwiona, co miało znaczyć: „po dwóch miesiącach zwłoki, o którą mi chodziło, możesz pan broszurę wydać."

Roboty koło nowego teatru postępują dość żywo. Na dachu stanęły już dwie figury, mające przedstawiać Tadeusza i Zosię. Tańczą niby poloneza. Mniejsza o artyzm, domyśleć się można wszystkiego, a możliwą zresztą pomyłkę usłużni chętnie sprostują. W każdym razie panowie artyści tak Zosię, jak i pana Tadeusza srodze skrzywdzili. Stary teatr sztuką architektoniczną poszczycić się nie może, natomiast doborowym repertuarem i wzorową dyrekcyą. Gdyby do repertuaru czerpano mniej, a dla dekoracyj więcej trochę z „articles de Paris," to możeby wreszcie dusze bardzo odważne z mniejszą trwogą przestępowały przybytek tej pomarszczonej, ustrojonej w brudne szmaty Melpomeny. Dzisiaj najśmielszym brak otuchy. Afisze zapowiadają zazwyczaj albo oryginalną sztukę Dumasa, albo przeróbkę z Dumasa, albo jakiś pasztet z Dumasa i otyłmimus Lindaua. Ostatnio wystawiono właśnie komedyę tego autora „Dwie Eleonory." Wolelibyśmy jedną — a dobrą. Bardzo rzadko widnieje na afiszu nazwisko polskiego komedyopisarza. O dramacie mowy niema. Wątpię bardzo, czy przy dyrekcyi p. Gliksona stosunki sceny krakowskiej, przeniesione na deski nowego teatru, o krztę się zmienią. Na szczęście jednak dzierżawa jego wkrótce się kończy, a prawdopodobnie odnowiona nie zostanie, ponieważ rada miejska, być może, teatr we własny zarząd weźmie. W kwestyi tej przemówił p. Wdowiszewski w broszurze p. t. „W sprawie nowego teatru krakowskiego." Dowodzi on cyframi, że przy podobnej zmianie konstelacyi sztuka bardzo by zyskała, ponieważ usunięty interes, który ją wyzyskiwał. Ponieważ jednak wszystkie nasze piękne postanowienia zazwyczaj, zaczepiając o formułkę: „dlaczego ma być dobrze, skoro może być źle" — kark skręcają, więc i tu nie wiadomo, co się z poglądem p. Wdowiszewskiego stanie. Gmina krakowska wogóle boi się, boi się wszelkich inowacyj. Mówią tu o otwarciu bazaru wyrobów ślusarskich. Pieniądze na ten cel potrzebne już złożono.

W Stanisławowie otworzono stały teatr, trzeci na Galicyę. Stanął on dzięki staraniom obywatela miejscowego, prezesa stanisł. „Towarz. Moniuszki," p. Szaniejty, a istnieć będzie pod dyrekcyą artysty dramatycznego, p. Kwiecińskiego, który w przeciągu krótkiego czasu zdołał zebrać towarzystwo dramatyczne, złożone z 36-iu osób.

Tutejsza Czytelnia akademicka chciała uśpioną od dłuższego czasu sprawę zebrania funduszu na pomnik Zygmunta Krasińskiego na nowo poruszyć, postanawiając, między innymi, w tym celu zwołać wiec. Tymczasem mimo zezwolenia rektora Chotkowskiego, kurator czytelni oświadczył się przeciwko temu zamiarowi, wrzekomo z powodu nieporządków w łonie czytelni. Oczywiście Krasiński ze swoim pomnikiem tak długo będzie „straszył" w głowach pomnikowiczów, jak niegdyś Mickiewicz, jeśli nie dłużej.

Z pracowni Matejki wyszedł nowy obraz: „Zaślubiny ks. Światopełka z córką Bolesława Chrobrego." Płótno to przejdzie do prywatnego zbioru rodzin Mazaraki i Światopełk-Czetwertyńskich.

Ferropar.

SPRAWY ZIEMIAŃSKIE.

Odbywające się obecnie wybory radców do Towarzystwa kred. ziems. dają ziemianom sposobność do wypowiedzenia wszystkich swoich skarg i pragnień. Naturalnie większa część tych wylewów płynie w kierunku zniżenia procentów od pożyczek i wogóle "ulg," a niektórzy z elegistów prawdopodobnie byliby jeszcze niezadowoleni, gdyby im darowano długi i dodano po paczce banknotów na „melioracye." Musiała ta powódź przybrać w roku bieżącym niezwykłe rozmiary, skoro nawet pisma, z kadzielnicami spotykające stan ziemiański, uznały za stosowne wypowiedzieć mu kilka gorzkich prawd. *Gazeta rolnicza* zapewnia, że w swej tece posiada wiązkę projektów, którymi by można wywołać śmiech w szpitalu. „Czego bo tam nie ma: pożyczki *jednoprocentowe*, listy *drugohipoteczne* do 75% wartości majątków, listy premiowe itd. Autorzy tych wszystkich pięknych projektów zapominają tylko o jednej bagatelnej rzeczy: oto aby koncepty te, najczęściej nawet ekonomicznie niemożliwie, były wprowadzone w życie, wypadłoby przedewszystkiem zmienić prawo zasadnicze, trzebaby przerobić z gruntu ustawę. Projekty owe dowodzą w pierwszej linii najgrubszej nieznajomości prawa, stosunków naszych, a potem braku pojęcia o elementarnych choćby zasadach ekonomicznych... Tak między innymi jeden żąda

od Towarzystwa skupu wszystkich długów prywatnych. Nigdy jeszcze bodaj myśl podobna nie przyszła nikomu do głowy.“ *Sit saluti* — czyli — na zdrowie.

Rzecz doprawdy dziwna: biorąc miarę z rozumów, usposobień, charakteru naszej szlachty, należałoby przypuszczać, że instytucya przez nią wytworzona i rządzona, będzie wcieleniem naiwności, bezładu, niedbałej gospodarki i awanturniczych przedsięwzięć. Tymczasem Towarzystwo kredytowe ziemskie, krew z krwi i kość z kości szlacheckich, jest ostatnim wyrazem porządku, formalizmu, ostrożności i surowości rachunkowej. Raczej zgrzeszy ono okrucieństwem wierzyciela, niż rozrzutnością dobroczyńcy. Podazas gdy jego stowarzyszeni stracili (z nielicznymi wyjątkami) prawie cały kredyt hypoteczny, ona posiada najwyższy kredyt w kraju i za granicą dla swych listów. Nie jestże to dziwem? To też chociaż w roku bieżącym sankiuloci ziemiańscy przypuścili szturm do Bastylli, która „więzi ich kapitały,“ jesteśmy pewni, że ona ani drgnie pod temi uderzeniami i swoich „więźniów“ nie wypuści.

P. Szymon Gryff widocznie także stracił tę nadzieję, bo w *Gazecie rolniczej* powołuje wspólników niedoli do samopomocy. Wprawdzie żąda on, ażeby towarzystwa: kredytowe, popierania przemysłu, asekuracyjne i „wszelkie uczciwe redakcye“ podały im ręce, ale głównie domaga się organizacyi starań. „W każdej okolicy — powiada on — powinny się utworzyć rodzaje delegacyj taksowych, w charakterze komitetów ratunkowych, których zadaniem byłoby dokładne, cierpliwe i gruntowne przejrzenie danego stanu interesów, porównanie wszystkich stron dodatnich i ujemnych, ocenienie pojedynczych szczegółów gospodarstwa i całości interesów—i na podstawie tych danych zadecydowanie, czy położenie jest bez wyjścia, czy też jest droga ratunku, a w tym razie wskazanie tej drogi.“ Cały ten projekt stanowi ładną łupinę bez ziarna. Każdy szlachcic uważa się za tak mądrego, że dopóki nie ma za drzwiami komornika, nie zrzygnuje ze swego rozumu, nie podda się dobrowolnie kurateli, chyba wtedy, kiedy poczuje nóż na gardle, czyli — kiedy mu już nic nie pomoże. Tego rodzaju rady byłyby pożyteczne w zaczątku ruiny, nie zaś w jej końcu. Wówczas bowiem jeniec lichwiarzów i innych wierzycieli może być uratowany tylko takim sposobem, jakim wyzwalano z niewoli tatarskiej — okupem. A czy komisya taksacyjna da mu na to pieniędzy? Wątpimy. W rozpaczliwym głosie p. Gryffa nie odzywa się myśl daleko praktyczniejsza — organizacyi rolników w celu obniżenia kosztów produkcyi. To nie uratuje, ale usunie potrzebę ratowania. Z wielu punktów wskażemy jeden, w świeżo wydanej broszurze Wagnera: rolnicy niemieccy oszczędzają setki tysięcy marek, stowarzyszając się dla wspólnego zakupu nawozów sztucznych w wielkich ilościach. A gdzie u nas widziano zespalanie się ziemian dla osiągnięcia podobnych korzyści? I tu, podobnie jak w hygienie: trzeba ludzi uczyć szanować zdrowie, a nie urządzać konsyliów nad konającymi. Zresztą, wielu znajduje drogę wyjścia bez doradców: gdy długi obciążą najdłuższy ogon hypoteki a wierzyciele wystawią majątek na sprzedaż, wtedy wyprowadza się inwentarz, rozbiera się budynki, rozgradza parkany, wycina się nawet drzewa owocowe i zaoruje zasiewy, słowem dopełnia się dewastacyi, po której — według utartego wyrażenia — winny pozostać tylko: niebo i ziemia. Jest to objaw wysoce charakterystyczny, jak dalece z tem — mówiąc bez osłonek — bezczelnem oszustwem pogodził się honor stanu, dawniej bardzo wrażliwego na występki swe klasy, jak dalece pogodziła się z niem opinia kraju. Odłużyć folwark, potem go ograbić bezkarnie i pokazać figę wierzycielom, między którymi często znajdują się instytucye dobroczynne, sieroty, biedacy — stało się czemś tak zwykłem i tolerowanem, jak np. zerwanie gruszki w cudzym ogrodzie. „Doszło nawet do tego — powiada *Kuryer codzienny* — że dewastatora otacza niekiedy opinia sąsiadów, którzy mu dopomagają do działania na szkodę wierzycieli.“ Chociaż zwolennicy metody strusiej — chowania głowy w piasek przed niebezpieczeństwem i zalepiania otwartej rany papierowym plastrem albo z komiczną odwagą zaprzeczają samego faktu *), albo usiłują ograniczyć go — jak p. Łaszcz w *Gazecie warszawskiej* — do niewielkich rozmiarów i poniekąd usprawiedliwić „silniejszemi nad wszystko (!) uczuciami i obowiązkami rodzinnemi,“ rabunek albo raczej baszybuzukowska zagłada, dokonywana przez ziemian subhastowanych, szerzy się ciągle z zatrważającym postępem i stawia własność ziemską w stanie zupełnej nieodpowiedzialności kredytowej. „Będąc delegatem powiatowym — pisze p. W. Schürr w *Kuryerze codz.* — miałem sposobność *w ostatnich właśnie czasach* przekonać się o całej grozie dewastacyi: kompletnym braku zasiewów, wycinaniu drzew, sprzedawaniu całych budynków gospodarskich, albo domów mieszkalnych za kilka, kilkanaście a najwyżej kilkadziesiąt rubli, wozów nowych okutych za parę rubli, pługów całych żelaznych za 40 groszy itp.“ Piętnujemy żydów, ściągających haracze za zrzeczenie się rozmaitych matactw, tymczasem dziś do zwykłych już należą wypadki, w których nabywcy majątków z licytacyi płacą poprzednim właścicielom po kilka tysięcy rubli, ażeby nie dewastowali. Ponieważ jednak złe wzrasta i odejmuje hypotekom wiejskim wszelką wartość tak dalece, że obecnie kapitaliści wcale o nich słyszeć nie chcą, więc zarówno optymiści w rodzaju p. Łaszcza, jak pesymiści w rodzaju p. Schürra wznoszą do Towarzystwa kredytowego ziemskiego błagania, ażeby ono obejmowało w administracyę majątki wystawione na sprzedaż i tym sposobem zapobiegało grabieży. P. Schürr żąda nawet, ażeby wójci i sołtysi zobowiązani zostali do zawiadamiania delegatów o rozpoczętych dewastacyach. Z łona wyborców podniosły się również głosy o zapobieżenie tej klęsce. Co Towarzystwo zrobi w najbliższej przyszłości, nie wiemy; to tylko pewne, że prędzej lub później będzie musiało energicznie zająć się tą sprawą. W przeciwnym razie jego własny byt będzie poważnie zagrożony a śród właścicieli ziemskich skutkiem zupełnej utraty kredytu objawi się ruina, zataczająca swój krąg coraz szerzej. Wszystkie okrzyki: „ratujmy się,“ „pomagajmy sobie,“ „trzymajmy ziemię,“ wszystkie ulgi, konwersye i tym podobne środki nie dźwigną upadających, dopóki oni sami pozostaną w niesławie nieodpowiedzialnych dłużników i nie odzyskają zaufania ze strony kapitału.

*) Szczytem mimowolnego humoru w tym względzie były słowa przewodniczącego wyborom kieleckim, który w swej przemowie zapewnił, że „ucichły (!) w ostatnich latach wieści o szerzącej się *jakoby* u nas dewastacyi majątków ziemskich, o czem dużo mówiono a z pewnością *za wiele* drukowano...“ Mówca powoływał się na dowód, że w r. z. Towarzystwo straciło skutkiem dewastacyi na jednych dobrach tylko 36,000 rs. i że on „majątku zdewastowanego nie widział.“ I ja nie widziałem Sztokholmu a jednak Sztokholm istnieje. Co zaś do strat, to czemu p. prezydujący nie przytoczył cyfry długów prywatnych, przepadłych dzięki dewastacyi? Towarzystwo jest przeciw niej bardziej zabezpieczone pierwszeństwem hypotecznem, aniżeli wierzyciele prywatni; dlatego ono dalej udziela pożyczek na hypoteki wiejskie, a oni — nie.

W.

PAMIĘTNIK.

Szczepienie ospy po wsiach.

Z wielu stron Królestwa donoszą o silnie rozwijającej się epidemii ospy, szczególnie śród dzieci, z których znaczny procent umiera. Wobec tego przedsięwzięto środki zaradcze. Już wiemy, iż w Warszawie i okolicy otwarto kilkanaście stacyj bezpłatnego szczepienia. Najgorzej jest z prowincyą, która pozostaje na łasce felczerów. Według opisu *Gazety radomskiej*, obowiązkowe szczepienie ospy odbywają oni w sposób następujący: Felczer powiatowy, otrzymawszy trochę krowianki, powinien wybrać kilka lub więcej dzieci zdrowych dla wytworzenia limfy, zbieranej następnie do piórek gęsich i zaszczepianej ogółowi dziatwy wiejskiej. „Ponieważ gmin w powiecie bywa do dwudziestu, a wsi bez liku, przeto felczer powiatowy nie wystarczał, więc lekarz powiatu na kilka gmin wyznaczał jednego felczera i takich szczepoospów uprawomocnionych zjawiało się pięciu do sześciu, którzy od felczera powiatowego nabywali piórka z zebraną ospą, szczepili ją dzieciom i znowu zbierali na piórka i w gminach wskazanych szczepili dalej.“ Ze wsi nawet o parę mil odległych, zwoływane są matki, które wracając w nocy do domu narażają niemowlęta na zaziębienie lub obtarcie ranki. Tym sposobem albo dziecko choruje i umiera, albo się ospa nie przyjmie. To właśnie jest powodem niechęci ludu do środka zapobiegającego chorobie. Przy tem rodzice okropnie się boją *zbierania limfy* przez felczera i bardzo słusznie, gdyż nieraz po takiej operacyi tworzą się u dziecka rany, róże i wrzody pod pachami, powodując wyniszczenie lub nawet śmierć. Nic też dziwnego, że matki uciekają z dziećmi do lasu, aby uniknąć owego zbierania. Lekarz powiatowy, który właśnie powyższe tajemnice odsłonił, wskazuje wypróbowany przez siebie inny sposób szczepienia. Wyjednał on fundusz na zakupienie tylu flakoników krowianki, ażeby jej wystarczyło dla wszystkich dzieci w obrębie powiatu i żeby ospę szczepiono nie w gminach, lecz w każdej wsi, posiadającej sołtysa. Koszt niewielki (30 rs. na powiat), a korzyść ogromna. I to jednak niewystarczające. Do szczepienia powinni się wziąć sami lekarze, felczerami zaś posługiwać się tylko w wyjątkowych razach. Tym sposobem obok skuteczności zapobiegania chorobie byłyby jeszcze taki pożytek, że lud poznałby przy tej sposobności owych *prawdziwych* lekarzy, o których często wie tylko ze słyszenia i nauczyłby się właściwie oceniać pomoc lekarską tudzież odróżniać ją od znachorskiej. *Zn.*

Smutne odkrycie.

Dane statystyczne o działalności biura pracy czyli t. zw. wydziału „rekomendacyi pracy,“ istniejącego od lat 7 przy Towarzystwie subjektów handlowych m. Warszawy, ogłoszone przez prezesa p. Czesława Budzyńskiego, dają smutne świadectwo zarówno o uzdolnieniu fachowem subjektów naszych, jak i o ich rynku pracy. Kandydaci, zapisujący się na posady, nie znają dokładnie buchhalteryi, władających gruntownie językami ruskim i niemieckim, nie mówiąc już o francuskim i angielskim, bywa bardzo mało; takich, którzyby ukończyli handlową szkołę niedzielną, jest tylko garstka, dyplomy na subjektów dawane przez urząd starszych zgromadzenia kupców — są rzadkością. Dotyczy to wyższych urzędników handlowych, tj. tak zwanych *kantorowych*. Co zaś do sprzedawców czyli „ekspedyentów,“ to smutne doświadczenie nauczyło, że kandydaci z tej gałęzi handlu nie posiadają gruntownej znajomości: towaroznawstwa, obrachunku zwykłego, umiejętności obliczania procentów prostych,

różnicy kursu, zwyczajów handlowych, drobnej korespondencyi — nie umieją porozumiewać się z klientami w językach obcych. Obok tak niskiego poziomu wykształcenia fachowego trapi pracodawców, a jeszcze więcej ich najemników, chaos podaży pracy. Stwierdzono, że kandydaci na posady subjektów szczególnie upodobali sobie gałęzie handlu kolonialno-winno-wódczanego, zaniedbali zaś inne gałęzie bardziej popłatne i dające więcej czasu do kształcenia się. Powstające stąd współzawodnictwo mocno dolega tym, którzy w niem biorą udział. Odłogiem za to leżą inne pola: handel bieliźniany, bawełniany, sukienny, materyałów aptecznych, galanteryjnych, narzędzi rolniczych itp., gdzie popyt na siłę roboczą jest wielki. Kiedy pewien kupiec odeski zażądał od wydziału rekomendacyi pracy kandydata na posadę pierwszego subjekta do sklepu bławatnego z roczną pensyą 1,500 rs. i 2% tantyemy, to po długich poszukiwaniach w całej Warszawie nie znaleziono nikogo odpowiedniego. Ponętną posadę zajął subjekt sprowadzony z zagranicy. I wogóle zajęcia lepsze dostają się przybyszom zagranicznym, niższe zaś, gorzej płatne — zajmują miejscowi.

Ten stan rzeczy najlepiej malują cyfry. W dziale kantorowym w ciągu zeszłego roku było do zajęcia 91 posad na sumę rocznego wynagrodzenia rs. 63,620. „Giełda pracy" towarzystwa subjektów poleciła na te posady 295 kandydatów. Z tej liczby umieszczono zaledwie 37, na sumę rocznego wynagrodzenia rs. 16,180. Dwóch przyjęto w Cesarstwie, 2 na prowincyi, a 33 w Warszawie. Najwięcej poszukiwano buchhalterów - korespondentów, władających językami: polskim, ruskim i niemieckim. W dziale spedycyjnym w tymże roku było do obsadzenia 135 posad, na sumę rocznego wynagrodzenia rs. 64,594. Wydział rekomendacyi polecił aż 555 kandydatów, z których umieszczono zaledwie 43. Ogółem żądano 226 pracowników, polecono 850, z których przyjęto tylko 80. To stanowi 35,4% posad obsadzonych i 9,4% kandydatów, którzy dostali się na posady. Przyczynę tego p. Budzyński widzi w braku należytego uzdolnienia kandydatów na posady subjektów i w imieniu Towarzystwa i żąda od starszych zgromadzenia kupców, żeby oni zorganizowali stałe lekcye wieczorne dla swoich praktykantów. Budżet wydatków na ten cel pokrywałoby samo Towarzystwo.

Sądzimy, że na zadośćuczynienie tak skromnego żądania starczy możności pp. kupcom, ale jeżeli jasno zdają sobie sprawę z niewygody niezręcznych najemników, to urządzając lekcye wieczorne równocześnie dbać winni i o to, żeby usuwać przeszkody do korzystania z nich. Największą tam jest zbyt długi czas pracy subjekta. *P.*

Konduktorowie.

Liczne wypadki na kolejach, przypisywane najczęściej winie służby pociągowej, skłoniły niektóre zarządy dróg naszych do wydania przepisów, obostrzających odpowiedzialność pracowników w oddziale ruchu. W szeregu innych byłby to może środek niezły, gdyby wzamian za obostrzenie koleje poczyniły ulgi w natężeniu pracy i jej warunkach. Dzieje się przeciwnie; w miarę wzrostu kar zmniejsza się liczba pracowników tam, gdzie oni istotnie są potrzebni, a ciężar pracy ogólnej rozkłada się na pozostałych. Najbardziej to czują wszelkiego rodzaju „dyżurni" i służba konduktorska, szczególnie przy pociągach towarowych. Z wyjątkiem kolei Wiedeńskiej, która ma budki przy wagonach dla t. zw. „brekowych," wszystkie inne nie uwzględniły tak koniecznego udogodnienia. Skutkiem tego konduktor na przestrzeni np. między Lublinem a Pragą musi pełnić służbę w postawie stojącej pod gołem niebem, narażony na szarugi, deszcze, słoty, śnigi, mrozy i wichry, latem zaś na spiekotę słoneczną i kurz gryzący. Naturalnie, prób takich najsilniejszy organizm długo wytrzymać nie może. Dowodem tego są fakty podano przez *Gazetę lubelską*. „W ostatnich czasach zaszły wypadki prawie jednoczesnej śmierci dwóch konduktorów, których byt w ciągu lat 15-tu wcale się nie polepszył, a kilku od dłuższego czasu pozostaje w długiej i zdaje się bezskutecznej kuracyi, wskutek przeziębienia się na brekach podczas zwiększonego ruchu towarowego, co i obecnie również ma miejsce." Władza kolejowa, narażając tych ludzi na utratę zdrowia i życia, jednocześnie surowo karze w razie wypadku z pociągiem, wynikającego z niezahamowania w porę. Tymczasem według opisu organu lubelskiego, klocki hamulcowe na kolei Nadwiślańskiej przez oszczędność robione są z drzewa cieńszego, niż tego wymaga wymiar części żelaznej. Zamiast więc przy hamowaniu krępować obręcze kół, wychodzą one zewnątrz. Z tego powodu na „zabrekowanie" wagonu trzeba najmniej użyć dwie lub trzy minuty. Przy należytej grubości klocków czynność ta nie powinna trwać dłużej nad 20 sekund. Niedawno w Nałęczowie brak połowy stopnia drewnianego u brankardu był przyczyną nieszczęśliwego wypadku z pracownikiem. Może na to wszystko zarząd zwróci uwagę, gdy swoją oszczędność drogo opłaci. *Zn.*

Posłańcy gminni.

Wkrótce ma zniknąć jedno z szeregu upośledzeń prowincyi — żółwia wędrówka posyłek i listów. Mieszkaniec miejski, przyzwyczajony do wszelkich udogodnień, nie może oswoić się z myślą w zakątku wiejskim, że list lub gazeta przebywa przestrzeń 100-wiorstową dłużej niż np. z Londynu albo Paryża do Warszawy, a telegram częstokroć trzech dni wymaga dla dojścia na miejsce przeznaczenia. Ile stąd zawodów i strat, trudno byłoby zliczyć. Podróżny telegrafujący do kogoś o konie, po przybyciu na ostatnią stacyę sam zabiera telegram i przywozi go... Znane są również wypadki klęsk materyalnych, wynikających ze spóźnionego doręczenia korespondencyi. Wszystkie te niedogodności, dotkliwe dla mieszkańców partykularza, wywołały projekt urządzenia poczt wiejskich; myśl ta jednak upadła skutkiem braku funduszów odpowiednich. Obecnie zaś nowy pomysł ma większe prawdopodobieństwo szybkiego urzeczywistnienia. Na zebraniach gminnych będzie uchwalone, ażeby każdy mieszkaniec, otrzymujący listy i gazety, wnosił pewną składkę roczną na utrzymanie stałych posłańców, którzy mają podlegać bezpośredniemu zwierzchnictwu wójtów gmin. Zdaniem naszem podatek taki powinien być obowiązkowy, przez władzę administracyjną zalecony. Gdy bowiem będzie zależeć od dobrej woli jednostek, może natrafić opór tych, którym nie zależy na akuratnem otrzymywaniu listów i gazet. *...ir.*

Z naszej kooperacyi.

Ubiegły rok był znowu pomyślnym dla Towarzystwa zaliczkowo-wkładowego w Wiskitkach. Ku końcowi roku liczyło ono 165 członków, a kapitału udziałowego — 8,250 rs. Obrót kasowy wynosił 194,495 rs., zysk czysty — 2,666. Dowodem zaufania publiczności do Towarzystwa jest to, że kapitały lokowane w niem przez nią pod koniec roku zeszłego wynosiły 125,033, w czem pieniędzy 40 członków było zaledwie 6,192 rs. Zaliczeń na weksle solidarne, najmniej z dwoma podpisami, przyznano i wypłacono w ciągu roku na sumę 20,868 rs., ściągnięto 20,259, na r. b. pozostało 47,675 rs. Najwięcej zaliczeń przyznano na sumę od rs. 10 do 50, na 50 do 100 tylko 99, na 10 do 200 tylko 95, na 200 do 300 tylko 42, na 500 do 600 tylko 2 osobom. Miarkować z tego można, jakie to warstwy społeczne najwięcej skupiają się około tej instytucyi. Od zaliczeń pobierano po 8% i 10%, co dało w sumie 5,453 rs. Fundusz zapasowy wynosił w r. z. 11,753, rezerwowy — 2,453 rs. Podział zysków dokonany był w następującym stosunku: 266 rs. na fundusz zapasowy, 980 rs., na dywidendę po 12% od udziału 50-rublowego, 200 na wpisy dla niezamożnych uczniów, 484 na fundusz rezerwowy, 600 na wydatki dyrektora w interesach Towarzystwa, 40 na szpital w Grójcu itd. Koszt zarządu pochłania rocznie 1,042 rs. *A.*

Pogoń za wsią...

Połączenie Warszawy z Wilanowem, wsi z miastem za pomocą tramwaja stało się już faktem. Zbadano urzędownie ten nowy łącznik i orzeczono, iż może on działać. Ruch więc już się rozpoczął. Nim cały tabor będzie w pogotowiu, wagony będą kursowały od rogatki belwederskiej do Czerniakowa co kwadrans, a z Czerniakowa do Wilanowa — co pół godziny. Taki sam rozkład jazdy nakreślono i w kierunku odwrotnym. Kolej będzie czynną od godziny 9-ej rano do 9-ej wieczorem, potem ruch rozpoczynać się będzie od 7-ej rano, kończyć zaś w dni pewszednie o 11-ej wieczorem, a w niedziele i święta — o 1-ej w nocy. Opłata do Czerniakowa wynosi 10 kop. od osoby, a do Wilanówa — 20. Wedle tego stawu, wykopanego przez rodzimy kapitał p. Husa i S-ki, ktoś już ma zamiar usypać swoją groblę to jest, wzdłuż szyn tramwajowych — rozpiąć druty telefoniczne. Może akcyonaryusze kolei konnej i przedsiębiorca telefonu warszawsko-wilanowskiego zgarną do kieszeni dywidendę, bo popyt w naszem miasteczku na zieloną trawę i świeże powietrze rośnie nietylko z rokiem, ale niemal z dniem każdym.

O hygienicznem znaczeniu tej zamiejskiej linii tramwajów zbytecznem byłoby się rozwodzić. Wie o tem każdy przeciętny warszawiak z doświadczenia lub informacyj reporterów. Zresztą dowodu dostarczą tłumy majówkowiczów i letników, którzy w upalne dni świąteczne uciekają z dusznego kotła, zwanego miastem. Mniej za to uświadamiamy sobie społeczne następstwa tej pogoni za wsią. Po przeprowadzeniu z Warszawy do Wilanowa tramwaju to ciche i ustronne miejsce zacznie tracić zwolna swoje cechy. Co rok i coraz energiczniej będzie ono zalewane potokiem letników i „majówkowiczów," z każdą jesienią ten chwilowy przypływ cofać się będzie do swego łożyska, ale każda taka fala zostawi po sobie w postaci sklepików, cukierni, restauracyj i wil — osad miasta na wsi. Wieśniacy podmiejscy, dość już zmieszczanieni, zmieszczanieją jeszcze bardziej. Chłopi podmiejscy pod wpływem rynku warszawskiego tak dalece zróżniczkowali się ekonomicznie, że coraz chętniej zaopatrują się w pieczywo u wytwórców miejskich. Chłopi wilanowscy ofiarowują swój las na park dla warszawiaków, obok wil niebawem pozakładają sklepy. Z rolników łatwo stać się mogą — sklepikarzami. Słowem, tramwaj p. Husa i Sp. będzie kanałem, którym część Warszawy wysiedli się po za rogatki i zapełni nią pustki wiejskie, dzielące drobne skupienia ludności drobnomiejskiej. Po latach zaciszny Wilanow stanie się przedmieściem, które ze względów administracyjnych potrzeba będzie wcielić do Warszawy.

A nieubłagana Ironia patrzeć na to będzie z uśmiechem, widząc kłopot mieszczucha, który uciekając od siebie na wieś, dopędzany będzie wciąż przez ulice, sklepy i zgiełk własnego życia. *Z. A. P.*

Z Brazylii.

Smutne widoki kolonizacyi kreśli p. Hempel w dalszym ciągu swych opowiadań. Oto jeden z obrazów:

„Przez dziewiczy las ciągnie się wycięta prosta linia, dosyć wązka; drzewa poodsuwano tak, że można przejść jako tako po jedynej, trochę wydeptanej ścieżce. Na prawo od tej drożyny stoją dwie budy, gdyż domów nie zdążono jeszcze zbudować. Zbliżamy się do tych prowizo-

rycznych mieszkań kolonistów. Przed jedną na posłaniu, przykryty jakiemś paltem starem, leży w tyfusie, zdaje się, nieprzytomny zupełnie młody jeszcze człowiek. Jest to Jaworski z Warszawy. Pracował tam w fabryce Szperlinga na Lesznie. Młoda żona z maleńkim synkiem na ręku, zalewając się łzami, siedzi nad nim. W budzie nie ma nic więcej, tylko trochę grochu czarnego. Po żywność trzeba iść 46 kilometrów! Koło drugiej budy. tuż obok, kobieta z córką, chore obie, dopiero przychodzą do zdrowia; chłopak kilkunastoletni leży pod budą z ogromnie wzdętym brzuchem. Kobiety ledwie mogą mówić, tak są osłabione, a mąż już parę dni temu poszedł „po życie“ do Rio Negro i dotąd go niema. Chorzy są tu bez żadnej pomocy, bez stosownego jedzenia, na łasce boskiej. Zresztą kto tu dba o życie emigranta!

To też chłopi, którzy zwykle drą się do ziemi, tutaj „z płaczem idą na kolonie,“ bo dobrze wiedzą, co ich tam czeka. Dawniej temu, kogo wysyłano na kolonie, dawano pożywienie na miesiąc, a nadto zaopatrywano we wszystkie na razie potrzebne narzędzia, a więc nóż, siekierę, fojsę, piłę, gracę. Teraz, za nowego szefa, wyjeżdżający na kolonie dostaje tylko: siekierę, fojsę i życie na 15 dni. Taka porcya na jednego człowieka składa się: z 10 kwart fasoli, 10 kwart mąki kukurydzowej, 3 kilo cukru, 2 kilo ryżu, 1 kilo słoniny, matte 1 i $1\frac{1}{2}$ kilo soli. Po zjedzeniu tego, co dostał, wybiera się chłop w siedmiomilową podróż po życie. Zostawia więc żonę i dzieci w lesie, a sam idzie z workami do Rio Negro. Dawniej podobno prędzej mógł się doprosić o to, co mu się należy, dzisiaj trudniej to idzie. Zmarnowawszy co najmniej jeden dzień na podróż, przychodzi do Rio Negro zmordowany. W baraku mu jeść nie dadzą, chyba się kto nad nim zmiłuje, a na wydanie z magazynu jedzenia czeka 3, 4 i 5 dni!..

Widziałem tych biedaków, płaczących i siedzących na ziemi przed biurem, oczekujących z dnia na dzień na wydanie życia. W kancelaryi nikomu nie pilno. Szef siedzi sobie od godziny 10 do 3-ej i nikogo nie dopuszcza do siebie, chłop więc cierpliwie czeka, dopóki się nie zmiłuje który z urzędników i nie przyspieszy wydania. W ostatnich dniach zresztą przestano już wydawać na 15 dni życie, a wydają tylko na 7 do 8-miu.

Przed wyjazdem przyszli do nas: Kubiak z pod Nieszawy i Zieliński z Poznańskiego, którzy po przeczekaniu 3 dni dostali na 7 dni żywności dla siebie tylko. Pójdą więc 7 mil po to tylko, żeby zanieść tę odrobinę dzieciom i wracać znów po życie do Rio Negro!“

I jeszcze biedne ćmy lecą do tego ognia, który je spali...

Z Argentyny.

Według ostatnich wiadomości bar. Hirsch, zrażony niepowodzeniami, a głównie niekarnością i buntami osadników, polecił swemu pełnomocnikowi zwinąć kolonie argentyńskie i wysłać żydów do Ameryki północnej. Jeżeli to jest prawda, żydzi tych krajów, z których się wysiedlają, poniosą nieobliczoną klęskę. Naprzód bowiem stracą najlepsze miejsce dla odpływu swej emigracyi, a powtóre będą mieli przeciw sobie wymowny i pokonywający dowód, że w najlepszych warunkach pracować nie chcą, że są niezdolni do stworzenia społeczeństwa z samych siebie, że nawet olbrzymie środki i najlepsze chęci bar. Hirscha nie zdołały z tego żywiołu stworzyć żadnej organizacyi. Rzecz naturalna, że to smutne doświadczenie nie może wpłynąć łagodząco na politykę rządów względem nich. *M.*

„Prawie darmo.“

P. Zygmunt Gloger rozjaśnił obszernie w *Gazecie rolniczej* jeden z „błędnych sądów,“ że ziemianie „mają na wsi wszystko do życia i utrzymania prawie za darmo.“ Otóż autor szczegółowym wywodem i rachunkiem obala to mylne pojęcie, poświęcając mu, naszem zdaniem, zbyt wiele trudu. Bo jakkolwiek nazywa on je „opinią powszechną,“ jest to właściwie pusty frazes głów niedojrzałych, których w żaden sposób za głowę przeciętną ogółu brać nie można. Wyznajemy nawet, że podobnego sądu nie spotkaliśmy nigdzie. Spotykaliśmy natomiast często inny, poważniejszy, który bardziej zasługiwał na uwagę p. Glogera, mianowicie że ziemianie przy obliczaniu swych dochodów i renty gruntowej, obniżają je, pomijając lub lekceważąc takie korzyści, jak mieszkanie, służba, pewne produkty itd. Ścisłe zbadanie tej kwestyi byłoby daleko ważniejsze, niż rozprawa z powierzchownym frazesem, który niczego nie uczy i niczego nie tłomaczy, bez względu na to, czy jest prawdziwy, czy fałszywy. Tymczasem bodaj przybliżone określenie renty gruntowej u nas rozświetliłoby wiele spraw i nadało właściwe znaczenie jękom ziemiańskim i dowodzeniom, że rolnictwo przynosi albo małe zyski, albo też straty. *M.*

Tajemnice ubezpieczeń.

Od bieżącego miesiąca zacznie wychodzić przy „Gazecie losowań“ nowy organ p. t. „Tygodnik asekuracyjny.“ Zamierza on być przewodnikiem i doradcą w sprawie ubezpieczeń. Zanim ocenimy jego działalność z czynów, zalecamy mu do pierwszych numerów bardzo wdzięczny temat. Istnieje w Warszawie filia szeroko rozgałęzionego po całym świecie towarzystwa asekuracyjnego „New-York,“ które u nas posiada bardzo wielu klientów. Otóż przeciw tej instytucyi podniesiono kilkakrotnie tłumiony a obecnie już głośny krzyk, oskarżający jej zarząd amerykański o karygodne nadużycia. Mamy pod ręką dwa dokumenty: jeden niemiecki — artykuł czasopisma *Zeitschrift für Versicherungswesen*, drugi — broszurę ruską. Od lat już paru nadchodziły do Europy złe wieści o „New-Yorku,“ ale prasa codzienna bądź ich nie słyszała, bądź, mając zatkane wiadomym sposobem uszy, słyszeć nie chciała. Nareszcie zeszłego roku nieco głośniej rozbrzmiała wiadomość, że jeden z agentów Towarzystwa, Merzbacher, przywłaszczywszy sobie 370,000 dol. uciekł i osiadł w Londynie. Tu jednak ku wielkiemu zdumieniu pozostawiono go w spokoju a nawet prezes Towarzystwa odwiedził złodzieja i przestawał z nim w przyjacielskich stosunkach. Może i ten wypadek zdołanoby „zatuszować,“ gdyby nie wystąpił publicznie z szeregiem ciężkich oskarżeń długoletni urzędnik i kasyer Towarzystwa T. M. Banta. Po wielu rozmaitych próbach uciszenia wrzawy i „zatkania ust“ dziennik „New-York Times“ rozpoczął energiczną kampanię przeciwko tej instytucyi a z ramienia rządu superintendent ubezpieczeń zajął się zrewidowaniem jej ksiąg i gospodarki. Niedawno właśnie ogłoszony został rezultat tych długich i mozolnych badań, od którego prostaczkom tego świata włosy powstałyby na głowie, gdyby zbyt częstem podnoszeniem się wobec okropności szwindlu nie były już zmęczone. Nie będziemy przed czytelnikami przesuwali całego łańcucha nadużyć, przeniewierstw, roztrwonień, gdyż na to zbrakłoby nam miejsca nawet w całym roczniku *Prawdy*, przytaczymy tylko parę dowodów. Tak np. agenci Towarzystwa, którzy pobierali ogromne pensye, spekulowali jego pieniędzmi i zyski chowali do własnej kieszeni a straty zapisywali na jego rachunek. Ich „deficyty,“ których wcale nie pokrywali, przechodziły nieraz pół miliona dolarów. Dyrektorowie obciążyli Towarzystwo 120,000 dol. na koszta wydania dwu dzieł, niemających z niem nic wspólnego. Kto mógł i umiał, rabował, kradł lub wyzyskiwał kasę instytucyi, należącą—według ogłoszeń — do ubezpieczonych. Ile pieniędzy tym sposobem złupiono, nawet superintendent nie zdołałby obliczyć; powiada on tylko na końcu swego sprawozdania: „jeżeli gospodarka ta dalej trwać będzie, niewątpliwie sprowadzi ruinę Towarzystwa.“

Jak wiadomo, na równi ze wszystkiemi tego rodzaju przedsiębiorstwami zagranicznemi u nas, musiało ono złożyć w skarbcu państwa pewną kaucyę, stanowiącą rękojmię pokrycia zobowiązań względem ubezpieczonych. Nadużycia więc dyrektorów i agentów amerykańskich nie pozbawiają nas jeszcze nadziei otrzymania asekuracyi, tem bardziej, że dotąd aktywa Towarzystwa przewyższają pasywa, mimo to jednak okazywane mu dotąd zaufanie zostało z gruntu zachwiane. Podobno prezes „New-Yorku“ Beers został usunięty ze swego stanowiska, czy jednak on był tylko korzeniem złego? *) *W.*

Sygurd Wiśniowski.

Nagle skutkiem paraliżu serca zmarł we Lwowie człowiek, który przez pewien czas był u nas przedmiotem dość natężonej uwagi. Przeszedł on kolej życia bardzo awanturniczą. Urodził się w r. 1841 w Paniowcach nad Zbruczem. Już w gimnazyum ogarnęła go gorączka włóczęgowska. Uciekł więc, przewędrował Rumunię, Rumelię, Tessalię jako nauczyciel języka francuskiego i konduktor telegrafów tureckich. W r. 1860 powrócił na uniwersytet do Lwowa, ale znowu wyjechał do Turcyi, wkrótce wszakże znalazł się w Sycylii, gdzie przyjął służbę w szeregach Garibaldego, a potem wstąpił do szkoły wojskowej w Genui. W dwa lata potem wyjechał do Anglii, a stamtąd do Australii i Ameryki południowej. Powrócił do Europy, ale znowu odwiedził Amerykę północną. W tych podróżach doświadczył prawie wszystkiego i zajmował się prawie wszystkiem: polityką, literaturą, przemysłem, handlem itd. W r. 1876 zawitał do Warszawy. Tu jako współpracownik *Wędrowca* i innych pism, a nadto jako autor dzieł *Dziesięć lat w Australii* i *Dzieci królowej Oceanii* zwrócił na siebie uwagę powszechną nie tyle talentem pisarskim, którego mu zresztą nie brakło, ile świeżością poglądów. Był to człowiek, który więcej od innych widział, szerzej rozejrzał się po świecie, zatem wywoływał ruch powietrza w zaścianku. Ale i to pole wpływu szybko mu się sprzykrzyło. Wyjechał do Galicyi, zerwał zupełnie z literaturą i poświęcił się wyłącznie przemysłowi naftowemu. Śmierć zaskoczyła go w chwili, gdy miał starać się o mandat poselski do wiedeńskiej Rady państwa.

SPRAWY EKONOMICZNE.

PRZEMYSŁ HANDEL I FINANSE.

Wywóz zboża. Handlarze, a w ich interesie *Birż. Wied.* i *Mosk. Wied.*, gorąco przemawiają za przywróceniem wywozu zboża za granicę. Jako środek mający skutecznie oddziałać na właściwe sfery, interesowani przewidują olbrzymie straty w przyszłości, mogące wyniknąć z długiego przerwania stosunków handlowych z zagranicą. *Mosk. Wied.* nawet zawczasu radzą, iżby nie zniżać bardzo cen zboża nowego zbioru. Z tego powodu *Now. Wrem.* wypowiada kilka uwag: „Rosya nie dla zabawy zerwała stosunki handlowe z zagranicą; przeciwnie — skłoniła ją do tego ciężka konieczność. Jaki więc cel mają teraz spóźnione mowy o tem, czego już naprawić nie można? Tem mniej jest zrozumiała troska o ceny zboża przyszłego zbioru, którego rozmiary nie dadzą się na razie w przybliżeniu obliczyć. Daj Boże, iżby urodzaj ten zdołał pokryć szczerby, jakie poczyniła klęska zeszłoroczna. Nie sądzimy jednak, aby można było już dzisiaj otwierać granicę dla wywozu pozostałych zapasów; raz bowiem doświad-

*) Tutejsza reprezentacya Towarzystwa ogłosiła jego obronę, która wszakże nie obala podniesionych zarzutów. *Red.*

czenie już dowiodło, jak niebezpieczną jest rzeczą pozostawiać państwo bez takich właśnie zapasów."

Sukiennictwo w Białymstoku. Tak zwany pierwszy sezon produkcyi skończył się na początku kwietnia. Pozostawił on miłe wspomnienie wytwórcom, którzy zacierając ręce, mówią: „Dobrze się nam powiodło!" Radość tem jest większa, iż w ciągu ubiegłych lat czterech przemysł białostocki przechodził znaczne przesilenie, cierpiąc dotkliwie stałe zmniejszenie się rynków zbytu. Dzięki pomyślnemu okresowi w r. b., stan rzeczy znacznie się poprawił. Ruch w fabrykach miejscowych jest obecnie ożywiony niezwykle, sprzedaż towarów idzie łatwo i dobrze. Liczba upadłości stosunkowo jest niewielka, szczególnie w porównaniu z początkiem ubiegłej jesieni. Wkrótce powstanie kilka nowych fabryk sukna (przeważnie żydowskich). Niedawno wielkie wrażenie zrobiła śród wytwórców miejscowych pogłoska o zamierzonem natarciu na sukienników białostockich francuskiego Towarzystwa akcyjnego. Miało ono założyć kilka wielkich fabryk z zamiarem wyłącznego zapanowania w przyszłości. Pogłoska, jak zapewnia korespondent *Wieku*, okazała się mylną; świadomi rzeczy utrzymują nawet, iż wątpić należy, aby przybysze mogli tam liczyć na zwycięztwo wobec zaciekłości fabrykantów miejscowych, którzy „na pewno nie przebieraliby w środkach walki."

Dla polepszenia stosunków handlowych pomiędzy Rosyą a Niemcami, jak donoszą *Rusk. Wied.*, rozpoczęto rokowania. W tym celu utworzono komisyę w Petersburgu pod przewodnictwem rz. r. st. Abazy. W skład jej wchodzi minister skarbu, spraw zagranicznych i ambasador ruski w Berlinie. Ze strony zaś Niemiec przyjmuje udział prof. Schweinitz.

Garbarnie warszawskie. Właściciele garbarni i zakładów białoskórniczych ogromnie się zaniepokoili pogłoską wygnania ich za granice miasta. Na żądanie wyjaśnienia otrzymali odpowiedź następującą: Zarząd miejski nie może obecnie myśleć o usunięciu zakładów, skutkiem braku funduszów odpowiednich na wykup. Natomiast innymi środkami przedsiębiorcy niepożądani dla zdrowia publicznego, zmuszeni będą do przenosin. Jeszcze przed kilku laty wydano rozporządzenie, iż nie wolno przerabiać i stawiać nowych budynków. Obecnie zaś właścicielom zakładów zalecono przeprowadzić kanalizacyę. Tonący chwycili się tej deski zbawiennej i twierdzą, że skanalizowanie zajętych przestrzeni nie przedstawia żadnego interesu, dopóki są stare zabudowania. Chętnie jednak wykonają te roboty, jeżeli wydane im będzie pozwolenie na odpowiednią przeróbkę budynków fabrycznych, lub wzniesienie nowych. Tym sposobem mają nadzieję utrwalić swoje siedlisko w obrębie miasta.

Zamach na Wschód. Dotychczas pojedyncze tylko furtki Wschodu udawało się otwierać kupcom ruskim. Główne bramy rynków tamtejszych są jeszcze zamknięte na liczne rygle i zatrzaski. Chodzi więc o to, ażeby dobrać szereg kluczów dla otwarcia tych wrót ponętnych, któreby wpuściły handlarzy na rozległe rynki w Turcyi, Persyi, Chiwie, Bucharze, Japonii i Chinach. Najważniejszą dotąd przeszkodą jest brak znajomości języków wschodnich, utrudniający bezpośrednie porozumiewanie się kupców ruskich z dalekimi odbiorcami. Ażeby w przyszłości usunąć tę ważną zawadę, minister skarbu w porozumieniu się z ministrem spraw zagranicznych postanowili utworzyć w kilku punktach państwa systematyczne kursy tych języków bezpłatnie lub za niewielką opłatą. Przy konsulatach urządzone będą szkoły, w celu przygotowania tłomaczów przysięgłych, a w wielkich miastach przy uniwersytetach — kursy wieczorne języków wschodnich dla postronnych słuchaczów.

Wystawy koni włościańskich w r. b. główny zarząd stadnin naznaczył w następujących gubernlach Królestwa Polskiego: 1) w Lublinie 15 maja, nagradzane będą ogiery i klacze od 4 do 6 lat i roczne źrebięta. 2) W Pławnie (gub. piotrkowska) podczas wyścigów w sierpniu. 3) W Kalwaryi (gub. suwalska) 18 kwietnia. 4) W Janowie (gub. siedlecka) 1 października. Na wszystkich wystawach nagrody będą wynosić po rs. 100.

Wywóz produktów wiejskich do Niemiec znacznie się w ostatnich czasach ożywił. Centralna hala miejska w Berlinie zawiązała niedawno za pośrednictwem agentów swoich bezpośrednie stosunki z guberniami południowo-zachodniemi, skąd mają być wysyłane nad Szpreę znaczne transporty mięsa i produktów mlecznych, tudzież ryb, które będą przewożone w specyalnych wagonach.

Waranty. *Tygodnik kolejowy* dowiaduje się, iż jedno z towarzystw transportowych moskiewskich utworzy wkrótce w Warszawie oddział, który obok zwykłych czynności, przyjmować będzie towary na skład i wydawać na nie waranty.

Bank handlowy w Łodzi. W tych dniach odbyło się ogólne zebranie akcyonaryuszów instytucyi kredytowej w Łodzi. W r. 1891 miała ona obrotu rs. 172,530,367, czyli więcej niż w r. 1890 przeszło o 16 milionów. Dywidendę postanowiono wypłacać w stosunku 10% od akcyi. Po dokonanych wyborach na członków rady powołane: pp. W. Janaszá, J. Kunitzera, D. Rosenbluma i K. Scheiblera, a na kandydatów pp. G. Geyera i J. Taufaniego.

Z rynku.

Ceny artykułów spożywczych. Warszawa, 27 i 28 kwietnia. Dostawy zboża (na plac Witkowskiego) znacznie się zmniejszyły. Pszenicy wystawiono na sprzedaż 300 korcy. Za wyborową płacono 8,70—8,75, za białą 8,55. Żyta ofiarowywano daleko mniej, bo tylko 20 korcy. Za dobry gatunek tego ziarna otrzymywano 6,75. Dowóz jęczmienia wynosił 50 korcy, sprzedawano go po 4,80—5,50. Cena zboża w magazynach tranzytowych (zapasu było 889 wagonów) były następujące: pszenica (za pud) 1,20—1,35; żyto 1,12—1,22; jęczmień 80—100; kasza jaglana 1,34—1,45; kasza gryczana 1,70—1,75; kukurydza 65—70; groch 1,15—1,30. W cenach mąki nie zaszły żadne zmiany, a to dla tego, że zapasy przedświąteczne ciężarem swoim trzymały je na poziomie poprzednim.

Wełna. Na rynku tego wytworu spokój przerywany drgawkami. Nieco ruchu było w Warszawie i Odesie z powodu kilku tranzakcyj na wywóz i dla użytku wewnętrznego. W Odesie sprzedano do Berlina około 13,000 pudów wełny hiszpańskiej brudnej po rs. 6—8,75 i do Jekaterynosławia 8,000 pudów (brudnej merynosowej) po rs. 7—9,50. Za to na rynkach zagranicznych było mocne ożywienie, ceny niektórych gatunków podniosły się o 5% po nad poziom cen notowanych w lutym.

W ostatnich czasach na rynku warszawskim sprzedano fabrykantowi do Tomaszowa przeszło 9 centnarów wełny po 65 talarów za centnar; do Białegostoku (z okolic Makowa) około 6 cent. po 56 tal. Do Zgierza zakupiono małą partyę około 70 cent. średnio cienkiej z Podlasia po 68 tal. Do Austryi zbyto około 300 kamieni wełny garbarskiej. W Częstochowie do Łodzi sprzedano około 300 cen. Pomimo tego zapasy wełny uszczuplają się wolno i nie sprowadzają tak ciężkiego dla przetwórców przednówku, na jaki narażany bywa spożywca i drobny wytwórca zboża. W Banku Państwa (filii warszawskiej) spoczywa jej jeszcze 6.700 pudów, a pewnego fabrykanta w Zgierzu przeszło 2,000, u wytwórców i komisyonerów około 800; a kupców zaś — 3,700.

Nafta. Sympatye dla tego płynu światłodajnego są słabe, a ceny biedaczki dążą ku zniżce: w Carycynie (loco) wyrażają się one 21 kop. bez akcyzy, w Warszawie — 1,14 (franco rezerwoar).

Okowita. Wiadro 100% rs. 10,85 *netto*; wiadro 78% rs. 8,62. Dowozy i zapasy są spore, za to popyt słaby. Cena wódki Tow. rektyfikacyi 10,80 za wiadro.

Rynek pieniężny. Na giełdzie berlińskiej zapłonęło gwałtowną miłością dla rubla. Skoro ten zwrot uczuć potwierdziły depesze petersburskie, zwyżkowców poparły domy bankierskie. Niechętnie one bowiem oddawały posiadane przez siebie ruble. Skutek był taki że już na samym wstępie czynności giełdowych waluta ruska napęczniała: za 100 rubli z dostawą w b. m. płacono 209 m., z dostawą zaś na koniec maja — po 209,50. Te ostatnie bardzo szybko podskoczyły do 209,75.

— Listy zastawne ziemskie podrożały o 20 kop., a likwidacyjne — o 50. Pożyczki wschodnie podskoczyły o 20 kop.

— Ruble w gotówce ceniono 27 kwietnia w Berlinie 209,75, na dostawę — 210.

DONIESIENIA URZĘDOWE.

Egzaminy gimnazyalne. Nowe przepisy o egzaminach, wydane 25 marca r. z., będą zastosowane w praktyce dopiero w r. b. po wakacyach. Zwłoka wynikła skutkiem potrzeby wprowadzenia znacznych zmian. Doświadczenie dowiodło, iż niektóre punkty należy bądź rozwinąć, bądź zupełnie zmienić. Dla egzaminów wstępnych oznaczono pewien czas (nie dłuższy nad tydzień) w końcu i początku roku szkolnego; przy czem kandydaci, którzy nie zdali egzaminu na wiosnę, nie mogą być dopuszczeni w tym samym zakładzie naukowym w sierpniu. Obecnie, jak się dowiadują *Nowosti*, od zasady tej odstąpiono i nadano prawo powtórnego zdawania egzaminu po wakacyach. Zmiana ta wynika stąd, iż wszyscy uczniowie, egzaminowani na wiosnę, zapisywani są tylko jako kandydaci i przyjmowani do szkoły jedynie na jesień w porządku, odpowiadającym ich stopniom. Wreszcie uczniowie stawający do egzaminu na wiosnę w jednym zakładzie naukowym, nie tracą prawa tego na jesieni w innem gimnazyum lub progimnazyum. Według przeszłorocznych przepisów, uczniowie klas wyższych (V, VI, VII), nie mogą być dopuszczani do egzaminu, jeżeli posiadają stopień niedostateczny (2) z głównego przedmiotu (religia, język ruski, matematyka i języki starożytne); tylko w „wyjątkowych wypadkach" może pozwalać na to p. kurator okręgu. W tym paragrafie postanowiono obecnie, aby w takich wypadkach wyrok zależał od rady pedagogicznej zakładu naukowego. W klasie wstępnej (według przepisów zeszłorocznych), zajęcia powinny być ukończone na dziesięć dni przed wakacyami; przez ten czas mają trwać egzaminy do klasy pierwszej. Otóż ściśle zastosowanie owego paragrafu wywołałoby tę niedogodność, iż uczniowie klasy wstępnej musieliby być uwolnieni o dwa tygodnie później, aniżeli kl. II, III, V i VII. Postanowiono zatem i nadal, jak w r. z., uwalniać uczniów klasy wstępnej na wakacye razem z uczniami klas wymienionych. Wogóle radom pedagogicznym przy rozstrzyganiu spraw o przejściu uczniów do klasy wyższej będzie zalecone możliwie najszersze zastosowanie art. 35-go przepisów zeszłorocznych, gdzie powiedziano, że owa instytucya wyrokująca nie powinna się ograniczać w danym razie do prostego obliczenia stopni, lecz uwzględniać postępy, pilność i uwagę ucznia tudzież badać jego zdolności i oceniać możność ukończenia gimnazyum. Rada pedagogiczna powinna wszelkimi sposobami wyrabiać sobie jasne pojęcie o uczniu i unikać błędów w ocenianiu jego wartości.

Egzaminy przejściowe i ostateczne w gimnazyach i progimnazyach b. r. szkolnego ukończone będą 18 czerwca (n. st.).

Warszawskij Dniewnik pisze;

„W celu utwierdzenia sprawy ruskiej i usunięcia szkodliwego wychowania młodzieży tamecznej w duchu antiruskim, postanowiono wydać czasowe przepisy o karach za nauczanie potajemne w guberniach: wileńskiej, kowieńskiej, grodzieńskiej, mińskiej, witebskiej, mohylowskiej, kijowskiej, podolskiej i wołyńskiej. Za urządzenie i utrzymywanie szkoły wszelkiego rodzaju bez zezwolenia rządu winni ulegają karze rs. 200 lub aresztowi do 3 miesięcy; za wszelką pomoc w urządzeniu szkoły takiego rodzaju w formie dostarczenia lokalu dla szkoły potajemnej lub płacenia za naukę w niej, spotyka ta sama, wymieniona powyżej kara. Również ulegają tej karze ci, którzy, mając prawo na nauczanie prywatne, dają lekcye w domu prywatnym jednocześnie dzieciom kilku rodzin lub dorosłym. Sprawy o podobne wykroczenia będą wytaczali w guberniach: kijowskiej, podolskiej i wołyńskiej inspektorowie, a w innych dyrekcye szkół ludowych. Kary wymierzają w guberniach: mińskiej, witebskiej i mohylowskiej gubernatorowie,

w innych generał-gubernatorowie. Policya miejska i powiatowa, oraz urzędnicy gminni i wiejscy obowiązani donosić władzy naukowej wszystko, co wiedzą o istnieniu szkół potajemnych.“

KRONIKA.

Sprawy społeczne. *Kuryer warsz.* notuje niezwykły fakt: wieś fabryczna — Zawiercie, licząca około 12,000 mieszkańców, przeważnie robotników, od nowego roku nie posiada żadnego szynku, ani karczmy. Są tylko bawarye, wyłącznie z piwem, chcący zaś dostać wódki, muszą się udawać do wsi sąsiednich, odległych o kilka wiorst. Nawet w święta wielkanocne nie było widać w całem Zawierciu pijanych, bójki zaś należą tam do bardzo rzadkich wypadków. *Kuryer* cieszy się z tego rodzaju wstrzemięźliwości, ale nic nie mówi, jakiego to gatunku jest piwo, które nie upaja.

— Szwalnia I dla biednych dziewcząt pod opieką hr. M. Ronikerowej przy ul. Starej miała dziewcząt zapisanych (w r. z.) 478, uczęszczało dziennie 337—410. Prawie wszystkie dostawały obiady (niektóre nadto śniadania i kolacye), przeszło 100 bezpłatnie, inne za opłatą $2^1/_2$—5 kop. dziennie. Obiadów wydano 79,031, śniadań i kolacyj 26,627. Dochód wynosił 6,872 k. 53, w tem z robót wykonanych w szwalni rs. 2,369 k. $84^1/_2$. Wydatki 6,521 k. 63, pozostało 350 rs. 90 k.

Wychodźctwo. Według doniesień *Warsz. Dniew.*, wychodźctwo do Ameryki z gub. łomżyńskiej nie tylko nie ustaje, lecz od początku wiosny zaczyna się wzmagać. Od 1 marca do 1 kwietnia wyszło około 370 osób, najwięcej z pow. kolneńskiego (55). Emigrowali sami tylko mężczyźni w sile wieku (20—40 lat). Pomiędzy nimi było zaledwie dwóch żydów i jeden ewangelik, reszta — katolicy. Około 60-ciu pozostawiło żony i dzieci bez żadnych środków do życia i nawet bez schronienia.

Szkoły. W Moskwie będzie otwarta wyższa szkoła techniczno-rolnicza.

— W Płocku wkrótce się rozpocznie budowa nowego gmachu szkolnego dla pomieszczenia gimnazyum z salami: rysunkową i gimnastyczną.

— Władza naukowa tutejsza poleciła dyrektorom gimnazyów, ażeby przy składaniu wykazu wychowańców, którzy z odznaczeniem ukończyli naukę i pragną wstępować do uniwersytetu w Petersburgu, określany był stan majątkowy ich rodziców lub opiekunów. Rozporządzenie to wynikło z zawiadomienia ministeryum oświaty o zmianie przepisów i dotyczących udzielania stypendyów w uniwersytecie petersburskim. Mogą je otrzymywać ubodzy kandydaci, kończący gimnazya z odznaczeniem.

— Ministeryum oświaty zawiadomiło władzę naukową, że wykłady w szkołach realnych gramatyki francuskiej i niemieckiej prowadzone być powinny w języku ogólnym wykładowym. Zapytania jednakże nauczycieli mogą być czynione w językach obcych i na żądanie nauczycieli uczniowie mogą odpowiadać tymiż językami.

— Pani Michalina Merser dostała koncesyę na założenie szkoły rzemiosł dla kobiet w Warszawie.

— Projekt trzyklasowej szkoły w Gostyninie zatwierdzono.

Zdrowie publiczne. Zwrócono szczególną uwagę na rowy i wszelkie odpływy wody, które są źródłem szerzenia się chorób zakaźnych na krańcach Warszawy. W tym celu w gminach: Czyste, Mokotów, Młociny, Czerniaków, Brudno i Wawer zwołano zebrania gminne dla ustanowienia jednorazowego funduszu drogą przymusowej składki. Środki te posłużą na oczyszczenie rowów i ścieków zatamowanych. Gdzie się okaże potrzeba, będą porobione całkiem nowe przekopy.

— Z rozporządzenia ministeryum komunikacyi na statkach parowych pasażerskich będą wprowadzone skrzynki ze środkami opatrunkowymi i ratunkowymi dla udzielania pierwszej pomocy chorym podróżnym.

Dobroczynność. Zmarły przed kilku dniami Władysław Kronenberg zapisał na rzecz warszawskiego Towarzystwa dobroczynności 250,000 rs. Procenty od tej sumy będą przeznaczone na poprawę losu sierot, wychowywanych przez zakład obdarowany (wyposażanie dziewczynek, kupowanie warsztatów dla chłopców rzemieślników).

— W Łodzi na święta żydzi zebrali dla swych współwyznawców około 20,000 rs. Zarząd gminy rozdzieli tę sumę pomiędzy najbiedniejszych.

— W siedemnastu guberniach, dotkniętych nieurodzajem do 1 kwietnia udzielono na wyżywienie i zasiewy 125,120,500 pudów zboża.

Wynalazek. P. Floryan Grubliński obmyślił aparat do wytwarzania pary („produktor“). Jest on niewielki, zajmuje przestrzeń niespełna 14 cali kwadratowych, dorównywa zaś podobno kotłowi, pracującemu o sile 12 koni.

Wystawy i Zjazdy. W Moguncyi na wrzesień zapowiedziano wielką wystawę sztuki religijnej.

— W dn. 21 b. m. otwarto w Paryżu zjazd robotników i oficyalistów, pracujących na francuskich kolejach żelaznych.

— W Medyolanie z powodu kongresu medycznego, zapowiedzianego na maj, otwarta będzie wystawa elektroterapeutyczna.

— Stowarzyszenie ogródków dziecięcych w Szwajcaryi odbędzie zjazd ogólny 11 i 12 września w Lucernie.

Wypadki. Śniegi, grady i mrozy poniszczyły w wielu okolicach Węgier zasiewy.

— Z Nowego-Yorku telegrafują, iż prochownia w New-Yersey wyleciała w powietrze. Dziesięć osób zabitych.

Bibliografia. E Orzeszkowa, *Bene nati*, z przedmową P. Chmielowskiego i rysunkami P. Stachiewicza, str. 206, Petersburg.

— L. Czapliński, *Księga przysłów, sentencyj i wyrazów łacińskich*, używanych przez pisarzów polskich, str. 524, nakład Kasy Mianowskiego, Warszawa.

— *Teatr amatorski* (J. Bliziński*ego Zięć dla parady*, I. Chęcińskiego *Ciekawość pierwszy stopień do piekła*, *Przed obiadem i po obiedzie*, bezim. *Biała kamelia*, S. Kozmiana *Gramatyka*, Jordan *Przy kolei*). Siedem osobnych zeszytów. Warszawa, Gebethner i Wolff.

— I. Borejszo Wysocki, *O zjawiskach życia duchowego*, str. 163, Warszawa.

— A. Dygasiński, *Czytanka pierwsza*, str. 131, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— W. Natanson, *O temperaturze*, odczyt, srr. 31, Warszawa.

— A. Witkowski, *Zasady fizyki*, tom I, str. 469 nakł. Kasy Mianowskiego, Warszawa.

Zmarli. Fryderyk Bodenstaedt w Wiesbaden, poeta. Tworzył na tle motywów wschodnich. Odznaczał się wykwintną formą i wielką płodnością.

— Henryk Kock, syn głośnego powieściopisarza, Pawła, autor kilku powieści i komedyj.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Prenumeratorce z Krak. Przedm. 1) Nie odkryto, ażeby ono było siedliskiem jakiejś władzy umysłowej, ale jako organ zasadniczy musi przyjmować udział w życiu duchowem; 2) objaśnić mogą tylko kupcy jaki jest zwyczaj; 3) programy są jednakie a wykonanie ich zależne od zakładu.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 17 Апрѣля 1892 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.